

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 30 SIERPNI 1930 ROKU

NR. 35

TREŚĆ NUMERU: Radość codzienna — *Zofja Miszewska*. Wczasy kobiety pracującej — *Zofja Imaszkiewiczowa*. Babulki (dokończenie) — *Zygmunt Knothe*. Wieczór w Mostach — *Hanna Mortkowiczówna*. Ci, co pozostali — *Aura Wyleżyńska*. Z książek. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Garnki archaiczne. Hodowla roślin cebulkowych — *Wanda Dobrzańska*. Po powrocie — *M. Dobromolska*. Dieta w chorobie — *Marja Morzkomska*. Przepisy gospodarskie. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek „Nasza Mównica“: Dodatek „Mody i roboty“: Wczesną jesienią — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“ — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

RADOŚĆ CODZIENNA

Obliczem powojennych ludzi jest pesymizm.

Opanował on, może zresztą drogą ciężkich wojennych przeżyć, zarówno politykę, jak i literaturę, życie społeczne tak samo, jak i rodzinne i legł ciężkim kamieniem na duszach, komplikując swą ciągłą, często podświadomą obecnością wszelkie zagadnienia chwili bieżącej.

Rozróżnić możemy dwa rodzaje pesymizmu: głębszy, atawistycznie zakorzeniony, jakgdyby podświadomy, powiedzmy—metafizyczny—i ten zwykły, łatwo spostrzegalny, biorący swój początek w nizałych równiutko. chwilach powszedniego dnia, który przecież w swej rzekomej szarzyźnie tai taką niesłychaną rozmaitość kolorów.

Ten pierwszy, głębszy rodzaj pesymizmu jest w nas dziedzicznie wrośnięty, zasiany niewolą, klęskami i całym mnóstwem rzeczywistych, a jednak już przecie minionych zgrzyot. Aby go zwalczyć, trzeba by przewrócić duszę na nice i wydrzeć z niej wszelkie dawne nastawienia psychiczne, które właśnie powstały z cierpienia. Trzeba by przytem jakoś bardziej całkowicie objąć sercem chwilę obecną, aby wyssać z niej całą jej rzeczywistą radość, której powołaniem będzie zabić pamięć o dawnych latach. Ale do tego potrzebne jest podniesienie o jedną skalę wyżej poziomu duchowego społeczeństwa, co stać się może dopiero w następnym pokoleniu, wyszkoleniem w tępieniu pesymizmu tego drugiego rodzaju: pesymizmu dnia powszedniego.

Wyszkolić jednak to przyszłe pokolenie może tylko kobieta.

Za dawnych lat jakiś poeta nazwał kobietę

uśmiechem życia — i prawdopodobnie miał rację. Uśmiech i radość życia były jej królestwem niepodzielnem, choć nie wiemy napewno, czy nie graniczyły niekiedy z bohaterstwem. Kobieta, jednak, dawnych lat wiedziała, że za jej to sprawą jedynie rozjaśni się zatroskane oblicze ojca, czy męża; wiedziała, że ona to jest duszą domu, w którym przecież *musi* świecić słońce, bo inaczej — gdzieżby świeciło? Wyglądała też miękko dłonią fałdy codzienne, aby gładko przewijały się koło jej najbliższych. To też wyszkoliła się w skwapliwym przyjmowaniu wszelkiej radości, a jej uważne źrenice zawsze umiały odnaleźć, wydobyć i „podać dalej“ każdy najmniejszy okruczeństwo szczęścia.

Taka postawa wymagała — oprócz wrodzonej, czy narzuconej przez altruizm pogody ducha — jeszcze wiele silnej woli, któraby umiała walczyć ze smutkiem.

Dzisiejsza kobieta pod tym względem jakoś dziwnie zmałała i zesłabła. Wydać się to może paradoksem, gdyż przecie sport przekreślił dawną „słabość“ niewieścią i pozwala kobietom z dumą mówić o swoich „bicepsach“, „wagach“ i „wyczynach lekkoatletycznych“. Pomimo to wszystko, wewnątrznie kobieta osłabła. Może, jak wyżej było powiedziane, przeżycia wojenne tak mocno nadszarpnęły nerwy, że straciły one swą dawną odporność; może równoległa z mężczyznami walka o byt to sprawia, że dzisiejsza kobieta zapomniała o bohaterskim nieraz uśmiechu prababek i ugina się raz po raz pod brzemieniem czasem nawet nieznaczających trosk.

Wszechwładny pesymizm i ją zagarnął pod

swoje skrzydła, wchodząc tym sposobem w życie tem głębiej i tem gruntowniej; opanował bowiem życie rodzinne.

Nie wielkie tłumy, nie forum publiczne, nie łamy pism odbijają w sobie nastrój kobiety i nie one cierpią nad jej zgryźliwością. Najwięcej cierpi nad tem mały, malutki skrawek świata, od kuchni do dziecinnego pokoju i potem jeszcze parę kroków dalej; ten skrawek, który wiernie i skwapliwie odbija ton kobiecego głosu i barwi się kolorytem jej śmiechu. Gdy jedno i drugie tępieje i szarzeje — przygasa samorzutna radość dzieci, wywołana jakimś drobniakiem — radość, która jest ich najistotniejszym prawem; marszczy się czoło męża i cały nastrój domu ślepnie odrazu na tysiące otaczających go uroków i marnieją one, niezauważone, bo niema tych jedynych, czujnych na radość, oczu.

Pesymistyczne nastawienie jest tem niebezpieczniejsze, że pociąga duszę coraz głębiej na dno. Drobny pyłek nieusuniętego w porę złego nastroju urasta wkrótce do rozmiaru niebotycznych wież, przysłaniających horyzont szarością swoich murów. Poczyna się dreptać na miejscu, wokół jednego niepowodzenia, przeocząc tysiące dobrych chwil, wartych rzetelnej radości. Taka dobra chwila, mogąca dać w innych warunkach bardzo wiele wartości dodatnich, przechodzi wówczas niepostrzeżenie, zaznaczając się w najlepszym razie nikłym uśmiechem, gdy powinna wywołać burzę wesela!

Nie chodzi tu, oczywiście, o trzpiotowatą hałaśliwość, która jest często tylko manierą, pokrywającą pustkę wewnętrzną, albo wielki smutek. Chodzi tylko o stałe nastawienie psychiczne, które w tym wypadku będzie się nazywało pogodą.

Zofja Nałkowska w swej sztuce: „Dom Kobiet“ — daje cudowny typ w postaci starej ciotki, która, bolejąc nad zgaśnięciem słońca, woła zaraz radośnie: „ale to nic: za chwilę będziemy mieli księżyc!“

Taka łatwość przechodzenia od jednego miłego wrażenia do następnego wytwarza pogodę ducha. Zatacza bowiem parabolę w odczuwaniu nastrojów, od radości do radości, nie zatrzymując się nad smutkami. Nie należy tego uważać za egoizm, ani za płytkość. Jest to tylko rezygnacja z pełnym zrozumieniem tego, z czego się rezygnuje, a także mierzenie spraw miarą ich wartości; są przecież głębokie smutki, które zatrzymują przy sobie ludzi na długo i nie wchodzą w zakres ruchów parabolicznych; są także przykre drobniaki, które wymagają omijania, gdyż inaczej one właśnie powodują płytkość duszy.

Przeciwnie: każda, drobna nawet radość pogłębia właściwy stosunek do życia, tylko nie trzeba nic pomijać w codzienności. Oto łatwo znaleziony potrzebny przedmiot, piękna pogoda na wycieczkę, udana robótka, miły uśmiech spotkanego znajomego — mogą się stać źródłem radości na cały dzień, gdy prze-

życia takie potrafimy odpowiednio pogłębić i nazwać je swoim i tylko swoim dobrym losem, ogólną życzliwością ludzką, lub zręcznością we wszystkich poczynaniach. Drobne niepowodzenia zejdu wtedy do nieznaczących omyłek i suma dnia będzie dobra.

Jednak zło, dziwnym trafem, mocniej zawsze czepia się naszej uwagi, niż dobro, i temu właśnie nastawieniu powinny kobiety wypowiedzieć walkę, która będzie pierwszym etapem w pogńębieniu pesymizmu.

Optymizm wymaga takiego samego treningu jak cierpliwość, czy np. przytomność umysłu: trzeba mieć tyle kultury codziennego życia, aby umieć wyszukiwać i utrzymywać dobre chwile.

To przyszłe młode pokolenie, mające zwalczać metafizyczny smutek naszego społeczeństwa, musi być wychowane właśnie w kulturze radości. Nie wystarczy tu jednak teoria, bez odpowiedniego nastroju domu, bez pogody domowników i uśmiechu matki. Prawdy te są tak oczywiste, że nawet mówić o nich nie trzeba.

Dajmy dzieciom trochę więcej śmiechu, śmiejmy się sami, bo pocóż mamy mieć ostatecznie opinię „smutnego narodu“, jak mówią o nas cudzoziemcy. A najgorsze, że mają poniekąd rację. Nie biorę pod uwagę jednostek, bo to już jest kwestja indywidualności, ale weźmy oblicze naszych miast, ulice — jakże inny mają nastrój, niż ulice miast zagranicznych! Tam radość jest tak oczywista i „ogólnie przyjęta“, że nikt się jej nie wstydzi, ani się od niej nie powstrzymuje. U nas panuje pod tym względem niesłychana powściągliwość, tak, że nawet „tłum“ nie umie bawić się na ulicy, w całym tego słowa znaczeniu. Nie będę przytaczać już tak utartych komunałów, jak karnawał w Wenecji, lub „mardi gras“ w Paryżu. Wiadomo, że tak bawić się nie potrafimy! Ale myślę, że przy dobrych chęciach, możnaby zdobyć trochę tej kultury radości.

Praca ta jednak czeka na ręce, a raczej na serca kobiet. Niechże sobie przypomną czar swego dawnego uśmiechu i swoje, *tylko* w samotności wylewane, łzy i całą tę odporność na złe losy. A przeszły przecież tak wiele te nasze matki i babki! Kto wie, czy ich bilans nie wyrównałby się z bilansem naszych wojennych przeżyć. Były jednak silniejsze, bez treningów sportowych, zdobywających rekordy światowe. W chwilach rozpieszczenia miewały coprawda spazmy i „wapory“, ale gdy trzeba było hartu ducha — zdobywały się nań.

Od kobiet współczesnych nie wymaga się aż tak wiele. Pozwala się im wyplakać w chwilach rzetelnego bólu, ale niechże, na miły Bóg! nie wyszukują „dziury w całym“ — niech drobnych niepowodzeń nie rozdmuchują do rozmiarów tragedji. Życie dostarcza znacznie więcej drobnych radości, niż wielkich smutków.

Zofja Miszewska.



Tak wygląda jeden z domów wakacyjnych dla kobiet w Belgii.

ZOFJA IWASZKIEWICZOWA.

WCZASY KOBIETY PRACUJĄCEJ

Sprawa organizacji t. zw. wczasów robotniczych, dążenie do racjonalnego zorganizowania życia robotniczego poza godzinami pracy w fabryce, kopalni, warsztacie, pracowni — żywo zajmuje umysły ekonomistów, polityków, kierowników życia robotniczego, a przede wszystkim — oświatowców. Od czasu Konferencji Waszyngtońskiej, a szczególnie od VI-ej Międzynarodowej Konferencji Pracy w Genewie, rządy, parlamenty, samorządy dążą do ustawowego uregulowania sprawy mieszkań robotniczych, bibliotek, subsydjów, rozumiejąc, że 8-godzinny dzień roboczy tylko wówczas stanie się środkiem do podniesienia jednostek i społeczeństw pod względem moralnym, społecznym, intelektualnym, a nawet ekonomicznym, jeśli robotnik potrafi należycie wykorzystać te godziny wczasów, jeśli one naprawdę staną się dlań źródłem radości życia i kulturalnego postępu.

Jeżeli jednak można mówić o wolnych godzinach dla robotnika, które po odliczeniu 8 godzin pracy, 8 godzin snu, 2 godzin posiłków i 2 godzin na ubranie i przejście do warsztatu pracy wynoszą w ciągu 6 dni 26 godzin — to obliczenie to nie może dotyczyć kobiety pracującej. Dla niej po powrocie do domu rozpoczyna się nowa praca. Nawet, jeśli nie jest matką i nie ma obowiązku prowadzenia własnego domu, to, jako córka i siostra, powoływana jest od wykonywania całego szeregu czynności, od których wolnym zupełnie jest jej mąż, czy brat, a które wypełniają jej wszystkie godziny, wolne od zawodowej pracy.

A nie znajdzie się chyba nikt, kto by nie uznał prawa do odpoczynku kobiety, zawodowo pracującej, narówni z silniejszym od niej fizycznie mężczyzną, kto by nie rozumiał, że od jej poziomu pod względem inteligencji, uspołecznienia, wyrobienia oby-

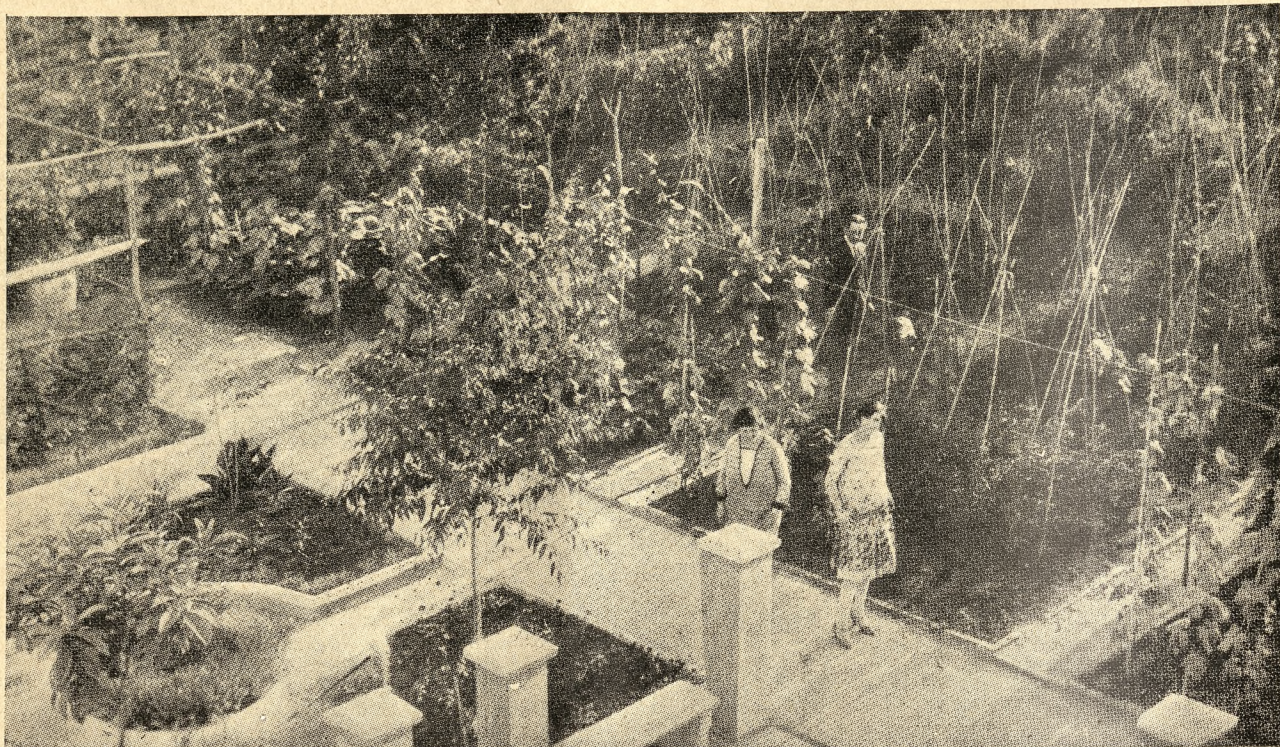
wskiego zależy w znacznej mierze wychowanie nowego pokolenia; że od jej upodobań, od jej umiejętności zorganizowania życia domowego zależy szczęście, zadowolenie i poziom życia całej rodziny.

Dużo się u nas w ostatnich czasach mówi i pisze o naukowej organizacji pracy domowej, ale dotyczy to przeważnie t. zw. inteligencji; za mało się jednak myśli o tych licznych rzeszach kobiet, zarobkujących pracą fizyczną często na utrzymanie całej rodziny; za mało się pamięta o tem, że i ich dotyczy prawo 8 godzinnego dnia roboczego.

Zagranicą — inaczej. W Belgii zarówno organizacje katolickie, jak i socjalistyczne, ogromną wagę przypisują racjonalnej organizacji życia kobiety-pracownicy, troszcząc się nietylko o robotnicę fabryczną, lecz otaczając opieką liczne rzesze pracow-



*Wczasy młodych robotnic nad morzem.
— Uwaga! nadchodzi dziwna fala.*



Ogródki robotnicze włoskie organizacji „Opera Nazionale Dopolavoro”.

nie w sklepach, biurach, pracowniach. Poza kursami szycia, gospodarstwa domowego, urządzenia mieszkań, sztuki stosowanej, higieny, pedagogiki, poza cyklami odczytów o treści społecznej, urządzone są wycieczki, przedstawienia, chóry, biblioteki, a co najważniejsza, domy wakacyjne, do których przyjmowane są kobiety samotne, matki z dziećmi i dzieci pracujących matek.

Dużą uwagę zwrócono na wychowanie fizyczne kobiet, szerząc wśród nich sporty, które doskonale się rozwijają wśród młodych dziewcząt. Istnieją już w Belgii specjalne domy ludowe dla kobiet, w których obok sali dla widowisk, obok czytelni i bibliotek istnieje rodzaj kawiarni, gdzie koncentruje się, jak wszędzie na Zachodzie, życie towarzyskie. Potężna dziś we Włoszech organizacja narodowa dla zużytkowania czasów, t. zw. „Opera Nazionale Dopolavoro” również zorganizowała specjalną sekcję kobiecą, liczącą już w pierwszym roku 115.500 członkiń, wśród których przeszło 63.000 stanowią robotnice fabryczne, resztę pracownice innych zawodów.

A jednak w naszych warunkach tyleby się mogło zrobić dla kobiety-pracownicy.

Właściciele fabryk budują nowoczesne domy dla robotników, jak na nasze stosunki, imponujące urządzeniami: skanalizowane, oświetlone elektrycznością, otoczone ogródkami; lecz nie pomyślano jeszcze o tem, by w tych nowoczesnych mieszkaniach wprowadzić także ulepszenia gospodarcze, któreby zredukowały pracę gospodyni i pozwoliły jej częściowo chociaż korzystać z czasu, wolnego od pracy zawodowej, ani o tem, by jej dostarczyć prądu elektrycz-

nego do tych urządzeń, co przecież w dużych przedsiębiorstwach fabrycznych nie kalkuluje się drogo; nie zorganizowano pomocy dla opieki nad dziećmi, jeśli te dzieci wyszły już z wieku żłobka i przedszkola; zresztą i te instytucje nie są dotąd powszechne. Słowem — nie uczyniono nic, lub bardzo mało, by ulżyć doli tej, dla której 8-godzinny dzień roboczy przedłuża się dwukrotnie, wskutek jej domowych obowiązków.

Rozumie się, że najbardziej celowem byłoby wprowadzenie dla kobiet zamężnych krótszego dnia roboczego przy odpowiedniej redukcji płacy; domagają się tego nie tylko organizacje kobiece, odpowiednie bawiem uchwały zapadają na kongresach międzynarodowych — np. ostatnio w czerwcu na kongresie w Leo-



Wczasy kobiety pracującej. Na mycieczce.



Chór sycylijskich robotnic zorganizowany przez „Opera Nazionale Dopolavoro”.



Przedstawienie amatorskie w stylowych kostjumach.

djum, zwołanym pod patronatem Alberta Thomas'a, dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy, a poświęconym sprawie wczasów robotniczych (Congrès International des Loisirs de l'ouvrier).

Kongres ów wzywał także rządy, aby stosowały się do zalecenia B. I. T. (Międzynarodowe Biuro Pracy) z dn. 5 lipca 1924 r. i żądały od fabrykantów zorganizowania przejazdów z domu do fabryki w ten sposób, aby czas przejazdu zredukować do minimum. Rozumie się, że dla kobiety ma to ogromne znaczenie.

A teraz należy postawić sobie pytanie: w jaki sposób przyzwyczaić kobietę do racjonalnego używania wczasów, pamiętając jednocześnie o tem. by jej nie odrywać całkowicie od domu? Rozumie się, w pierwszym rzędzie przez podniesienie jej poziomu umysłowego, przez danie jej pewnej kultury arty-

stycznej, przez nauczenie jej obcowania z książką, przez zachęcenie do założenia ogródka tam, gdzie to jest możliwe, do hodowli drobiu, zwierząt futerkowych, lub, w razie niemożności, do hodowli choćby tylko kwiatów pokojowych; przez nauczenie jej, jak sobie zrobić ramkę, lub abażur na lampę, jak uszyć i zawiesić firanki, jak dobrać kolory, haftując serwetki, czy robiąc sweater dla siebie lub dzieci; a co najważniejsza, ucząc ją racjonalnego gospodarstwa domowego przy użyciu metod, lepiej dostosowanych do obecnego życia, niż te, które jej przekazała tradycja.

Wczasy robotnicy winny być tak zorganizowane, aby ją samą jak najlepiej przygotować do podniesienia poziomu intelektualnego, moralnego i społecznego całej rodziny i wyrobić z niej przyszłą organizatorkę życia we własnym domu. Dlatego takie wiel-



Trzeba zachęcić robotnicę do założenia własnego ogródka...

kie znaczenie ma tu moment umiejętnie zorganizowanej rozrywki — czy to zabawy towarzyskiej, czy chóru, czy przedstawienia teatralnego lub koncertu na wysokim poziomie artystycznym; zwiedzanie muzeów, galerij, wycieczki krajoznawcze i t. p.

W większych miastach — w Warszawie i Łodzi — niektóre z tych form pracy są realizowane; lecz niema chyba miasteczka, lub choćby najmniejszego fabrycznego osiedla, gdzieby przy dobej woli nie można było zorganizować chóru, wycieczki w okolice, urządzić koncertu lub przedstawienia, zaspokajając w ten sposób zarówno potrzeby mężczyzn, jak i kobiet. Najdonioślejszą jednak, a dotąd zupełnie zapoznaną sprawą jest budowa domów wakacyjnych dla kobiet. W małej Belgji, niewiele większej od naszego województwa lubelskiego, korzysta tego lata z kolonij wakacyjnych dla robotnic około 2000 kobiet i 12.000 dzieci. U nas bardzo nieliczne duże pracownie i organizacje społeczne (np. Koło Polek, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet) wysyłają kobiety i młode dziewczęta na kolonie letnie, lecz jest to kropla w morzu potrzeb, a przytem organizacje te nie uwzględniają życzeń matek, które chciałyby spędzić lato razem z dziećmi.

A sprawa to wcale nie tak trudna do zrealizowania; przecież nie chodzi o jakieś wille w modnych uzdrowiskach: niechby to były narazie drewniane czyste domy na wsi; koszta utrzymania pokrywałyby osoby, korzystające z pobytu; one same utrzymywałyby porządek, nakrywały do stołu, prowadziły rachunki, mając wzamian letnisko, nie naruszające domowego budżetu, zapewniające spokojną, zdrową, pogodną atmosferę, ucząc się jednocześnie życia zbiorowego, którego formy, niestety, są jeszcze u nas w Polsce tak mało wyrobione i do którego tak trudno się przystosowujemy.

Jeśli pragniemy naprawdę, by poziom codziennego życia najszerzych mas podniósł się wyżej, jeśli nie chcemy, by miejscem odpoczynku i rozrywki robotnika był, jak dotąd, szynk lub ulica, jeśli życzymy sobie, by dom jego stał mu się miłym, bo schludnym, estetycznym, cichym, zaopatrzone w książkę, ozdobionym kwiatem, obrazem, firanką — to pomyślimy o zapewnieniu jego zarobkującej żonie zorganizowanych odpowiednio godzin odpoczynku; pomyślimy, że i do niej, acz z pewnem koniecznem ograniczeniem, winno się stosować prawo 8-godzinnego dnia roboczego.

ZYGMUNT KNOTHE.

B A B U L K I

(dokończenie)

Za drzwiami słycać szczekanie, to pewno Żolcio, co mi się kiedyś kłaniał. Jakiś dziwny dom, niby, jak u nas, a inaczej zupełnie. Błysnął żyrandol kryształowy, pełen elektrycznych lampek, na ścianie obraz olbrzymi: polowanie na jelenie. Skacze jelen w przepaść, pełną mgieł, widać góry dalekie, dopadły go psy ogromne. A na drugim obrazie bal maskowy: tłum strojnych gości, dama, maskę zdjawszy, uśmiecha się do towarzysza, rękę mu podaje. Padają imiona, nic nie mówiące, — kiedyś się dowiesz. Mebli moc, ogromne, powyginane poręcze kanap, foteli, krzeseł; wazony, pod sufit sięgające, makaty ciężkie, na stołach albumy niezliczone.

W gabinecie pani Zofji chińczyk z ruchomą głową i moc ciekawych przedmiotów w szklanej szafce. Ni to klejnoty, ni to zabawki, ze srebra, złota i kryształu. I kolacja przy stole długim, ze świecami w kandelabrach. W drodze do domu pytałem, czy Babulki są bardzo bogate. Były kiedyś.

Dochodzą uszu dzieciennych strzępy rozmów starszych, wiążą się w całość, dopełniają obrazami widzianymi, a wszystko się stroi w szatę fantazji i wyobraźni.

Dowiedziałem się z biegiem lat, że zmarła Eliza straciła w powstaniu narzeczonego i nie wyszła potem zamaż. Że pani Zuzanna miała szalenie bogatego męża, bankiera o obcym nazwisku, który ją, kiedyś nieomal porwał z domu rodziców, woził po świecie, stroił niesłychanie, dumny ze ślicznej żony, — a pewnego dnia porzucił dla jakiejś śpiewaczki, rozwiódł się i znikł z horyzontu. Ubolewała babunia nad Zuzią: — że oż zawsze w aksamitach i atlasach na ręku noszona, że teraz, opuszczona, z siostrami mieszka. Dowiedziałem się później, że pani Zofja uciekła kiedyś z domu z nauczycielem rysunku, Włochem czarującym, a po paru latach wróciła wdową do domu sióstr.

O Karolinie nic się nigdy nie dowiedziałem. Pozostała zagadką, uśmiechem, głosem rozelkanym. Podobno jakiś książę pokochał ją, gdy była w Paryżu, a że za obcego nie chciała iść zamaż, że były wielkie różnice majątkowe i inne, skończyło się na niczem. Nie wiadomo, ile w tem prawdy. Pozostała zagadką.

Posłyszałem kiedyś, że ich sprawy majątkowe bardzo się pogorszyły. Ktoś ubolewał, jak sobie porządą, ktoś ich żałował.

Znów szły lata. Zachodziłem czasem z mamusią

do starego domu starych pań. Oglądałem chińczyka, polowanie i bal maskowy, portret Żolcia, który od paru lat już nie żył. Przestałem się dziwić elektrycznym lampom i obejrzałem nareszcie wszystkie albumy w salonie. Potem umarła babunia. Po jej śmierci przyszły kiedyś Babulki, o niezwyklej porze, jeszcze za dnia. Miały okrągłe kapelusze z piórami, trochę popłakiwały i długo rozmawiały z mamusią o babuni.

Mówiły, że nie mają już nikogo, ktoby pamiętał dawne czasy, razem spędzone chwile. Posypały się wspomnienia: jak to kiedyś, ulica, na której mieszkaliśmy, była lasem podmiejskim, dokąd się jeździło na wiosnę zbierać fiołki. Starałem się wyobrazić sobie zamiast wysokich kamienic — drzewa zielone, zamiast bruku — murawę i Babulki łącznie z babunią, jako młode panienki w jasnych krynolinach, biegające po trawie. Parsknąłem śmiechem, a potem zawstydzilem się okropnie. Wspominały jakiś bal odwieczny, na którym babunia tańczyła ze swoim późniejszym mężem menueta. Podróże dalekie końmi rozstawnymi, koczem staromodnym, z popasami w karczmach i dworach znajomych. A potem powiedziały, że nie żyje już nikt, ktoby do nich mówił po imieniu, współcześni im wszyscy umarli. Zrozumiałem to bardzo wiele lat później. Wówczas nie odczuwałem tragedji ludzi, którzy żyją wśród młodszych, oddzieleni niewidocznym murem przeszłości; ludzi, którzy stracili wszystkich rówieśników i, czekając swojej godziny, by umrzeć — żyją wspomnieniami.

Byłem coraz starszy. Zapomniałem o dywanie, konfiturach, chodziłem do szkoły i zbierałem marki. Coraz rzadziej zachodziłem do starych pań. Zawsze były uśmiechnięte, spokojne, pełne miłych słów, ładnie ubrane. Tylko, że było ich już tylko dwie. W jakimś marcu szliśmy za pogrzebem nieszczęśliwej Zuzanny, co to na rękach była noszona zawsze w aksamitach i atlasach.

Wiedziałem już wtedy wszystko. Że były córkami wielkiego rodu, że już ich ojciec nadszarpnął fortunę i przeniósł się do miasta. Że potem, gdy umarł, żli ludzie oszukiwali samotne kobiety, obdzierając je stopniowo z majątku. Wtedy to wróciły Zuzanna i Zofja do domu. Miały dużo, ale coraz mniej. Aż gdy zostało ich tylko dwie, spadły na nich ostateczne klęski. Przyszła wojna 1914 roku, a w parę lat potem zważyło się na miasto, gdzie Babulki mieszkały, bolszewickie nieszczęście.

Któregoś dnia wpadła do naszego domu pani Zofja. Miała rumieńce na twarzy i drżała ze wzruszenia. Okazało się, że wyrzucali ich z mieszkania, prawem przemocy. Tyle, że mogły zabrać rzeczy ze sobą. Dom, ogród, konie — przechodziły na własność władzy. Przyszła prosić, czy możemy zabrać coś z ich rzeczy do siebie. A więc pewnego dnia do naszego salonu, zarekwirowanego na biuro, zawitało polowanie i bal maskowy. Nad rzeszą stolików z maszynami, nad szarym tłumem interesantów, nad troską i niepokojem

dnia dzisiejszego, zawisły na pustych ścianach, jak odblaski innego życia, przepyszne malowidła w złoconych ramach.

Poszedłem pomóc staruszkom w przymusowych przenosinach. Gdzieś na dalekiem przedmieściu znalazły parę izdebek i teraz oto odwożono wózkiem, jak na zesłanie, skarby rodzinne. I świecznik kryształowy, i kanapy ogromne, purpurowym adamaszkiem kryte, szafy i szafki, komody rzeźbione, stoliki mozaikowe, obrazy i naczynia. Coraz coś się tłukło, łamało, brutalnymi rękami rzucane. Patroszono stary dom, słano na tułaczkę stare kobiety i stare graty.

Któregoś dnia przyszła do nas panna Karolina, dostojna, pochylona, w zniszczonej sukni, bez kapelusza — żeby nie poznali, do jakiej klasy należy — jakby na oko nie widać było, kim jest. Prosiła szeptem, trochę się wstydząc, żeby kupca na obrazy znaleźć, bo one nie mają z czego żyć. I poszło w świat polowanie i bal za śmieszna sumę, do rąk jakiegoś urzędnika, nagle wzbogaconego. Sprzedawały potem mebel za meblem: to fotel, to figurynkę, to zegar, to obraz. Mieniały na chleb, sól, mleko. I nagle, jak piorun, wieść — pani Zofja umarła. Jakiś atak nieleczzonej choroby. Nie było za co kupić trumny metalowej, ani karawanu wynająć. Wózkiem jednokonnym, w skrzyni drewnianej odjechała na cmentarz do sióstr. Z opowieścią o chińczyku i Żolciu, co mi się kłaniał.

Karolina została sama. Osiwiła, zgarbiła się przez ten rok. Pozostały czarne oczy, i głos jeszcze bardziej rozbity, i smutny uśmiech na bladej twarzy. Zachodziłem tam często, nosząc coś z pożywienia, czy książki do czytania. Nic już prawie nie zostało z ich rzeczy. Mieszkała w jednym pokoju, sypiając na łóżku wążutkiem, miała tylko fotel wygodny, stoliczek mały i szafkę. To wszystko.

Mówiła mi dużo. O ludziach, o podróżach, o książkach. Mówiła o siostrach, o domu rodziców, o mojej babce. Mówiła mi o tem, co muszę w życiu uczynić, o obowiązkach i ojczyźnie. Jakże się cieszyła, że tam gdzie imię Polski wchodzi na forum narodów, że odzyskujemy swój byt, państwowość, niepodległość! Jakże żałowała, że nie miała już nic, coby krajowi ofiarować mogła!

Któregoś dnia zastano ją martwą. Gdy przyszedłem, leżała w swej sukience przykrótkiej i zniszczonej, z pod której wysuwały się dwie stopki dzieciinne, takie kruche i wątłe. Cienkie, białe palce otoczyły krzyżyk czarny i prosty, ręką litościwą wetknięty. Była cicha, spokojna i pogodna. W stoliku znaleziono list do mnie. Czując śmierć nadchodzącą, prosiła, bym przyjechał do Polski, oddał na Skarb Narodowy ostatnią rzecz, przez nią posiadaną: dukat szczerozłoty z Matką Boską.

Tak odeszła ostatnia Babulka, co miała głos, jak harfa rozefkany, a mnie, dziecku, wydawała się zaklętą księżniczką.

HANNA MORTKOWICZÓWNA.

WIECZÓR W MOSTACH¹⁾

Kiedy pociąg stanął na stacji w Mostach, deszcz właśnie przestał padać i wśród gliniastego błota kałuże zaświeciły odbiciem jaskrawego błękitu. Kilka objuczonych tobołami bab biegło ku wyjściu przez mokry peron. W poczekalni stacyjnej tłoczyła się gromada ponurych i zuchwałych wyrostków w czarnych rubaszkach i obdartych kaszkietach.

Pluli łuskami „siemiaczek“ na brudną podłogę.

W zasięgu ich niechętnych spojrzeń przystanęliśmy bezradni — niezdecydowani na kierunek dalszej drogi, niepewni miejsca najbliższego noclegu. Do Wołpy—15 kilometrów piachu, do miasteczka Mosty—7 kilometrów; do Zelwian i do Niemna—cztery...

Furmanki natarczywie przepychały się ku podjazdowi; konie, zacinanе batem, następowały na siebie z rżeniem; rudy Nuchym szastał się wśród nas, zamiatając błoto połami chałata i ktoś z boku (może policjant) radził uprzejmie, żeby najlepiej „jachać na fabrykę“ — miejsca tam było dużo, a ludzie uczliwi... Tameśmy też i pojechali.

Zładowano pięćdziesiąt plecaków na wozy, biały koń omachnął się zzieleniałym z brudu ogonem, furman powiedział flegmatycznie: „a hojt!“ — furmanka poczęła skakać po błotnitych wybojach drogi. Woźnica nasz nie pochodził z tych stron, był aż z pod Miechowa i dlatego nie bardzo chwalił sobie tutejsze życie i tutejszych ludzi: Nuchym, juda niewierny, cyganil; prawosławne i unjaty wrogo powstawali przeciw rządowemu polskiemu „regułowi“, a także wiele drzewa gnilo bezużytecznie po lasach... Naród jest leniwy i nie potrafi zagospodarować ziemi; grunta tych, co wyemigrowali do Ameryki, leżą odłogiem; most w Łunnej się zawalił, a w Niemnie przed tygodniem utopiły się dwie kobiety... Przytem ta sierota po synu, co ją chował, nie miała jakoś głowy do nauki i o zarobek było coraz ciężej, nawet i na fabryce...

Mijaliśmy właśnie jakieś młode zarośla leszczynowe, dołem różnobarwne od gąszczu splątanych kwiatów; pachnące, mokre olszynki, brzozowe lasy, pojedyncze, powyginane sosny. Świat obcy, wilgotny od deszczu, pozarastany zieleń; gęstwina bujna, wyniosła i tajemnicza, ciemniała pod sklepieniem niespokojnego, zmiennego nieba. W pewnej chwili Niemen, cichy, gładki i połyskliwy, zaświecił między wysokimi brzegami wąwozu, i furman powiedział po raz nie wiem już który:

— ...więc te pany Konopackie...

— Więc kto?

Teraz chyba należało już słuchać. Kominy fabryczne, dachy zabudowań, siwe w zmierzchu płoty poczęły się tłoczyć po naszej prawej stronie; atlas

rzeki w dole pokrywało, jak klepki gontowe, mnóstwo wiązanych z bali—tratew. Wjeżdżaliśmy w okolicę, gdzie wszystko miało coś do zawdzięczenia „fabryce“ i „panom Konopackim“, wyrosłe nagle na tym, pustym przed dwoma laty, Niemnowym brzegu.

— Tutaj zadatkowały przódzi gront, a tam wybudują kościół..., a tu majom kolejowom własnom bocznice..., a tu te dykty ekspedjują..., a tu dają ludziom darmo gront na domostwa...

— Sprawiedliwe są pany i rzetelne dla narodu—powiedział jeszcze mój informator, tuż przed samą bramą zabudowań fabrycznych.

Nie zdążyłam się zdziwić tem uznaniem zgryźliwego i krytycznego skądinąd chłopowiny, bo już właśnie i same „pany Konopackie“ szły ku nam od wrót swej posiadłości. Należało się legitymować, tłumaczyć cel i przyczynę swego przybycia, prosić o gościnę...

Wyliczać miejsca, skądemy przyjechali, było trudno... Nauczyciele powszechnych szkół, którzy wyruszyli na letnią wędrowną regjonalną ze wszystkich stron kraju: ze Śląska, Wileńszczyzny, Mazowsza i Podola, z Łodzi, Krosna, Ostrowca, Sokala, Rądomska, czy Głębokiego...

Ja, jako gość, doczepiona do tej zwartej zawodo gromady...

Nie trzeba się było zresztą tłumaczyć. Z rozkrzyżowanymi gościnnie ramionami biegła właśnie ku nam od szkoły panna Stefcia — tutejsza koleżanka — serdeczne słowa i uśmiechy spotykały nas niespodzianie w oczach i ustach nadchodzących ze wszystkich stron ludzi. I tak już, ogarnięci nagle nieoczekiwaną atmosferą prostej, gościnnej przyjaźni, szliśmy, nie wiedząc, dokąd, pomiędzy domami z dykty, po żwirowanych ścieżkach jakiegoś małego parku, wśród ciemnych już po wieczornemu drzew.

Zapraszano nas, witano, pytano, informowano...

Ludzie obcy, o niedojrzanych jeszcze wzajemnie w mroku, twarzach, zwierzali sobie nagle w tym wspólnym pochodzie ważne wiadomości o miejscu, skąd przyszli i dokąd przyszli, ściskali sobie serdecznie ręce.

Oni mówili: — Tutaj wszystko powstało w ciągu ostatnich dwóch lat...

Dykty skleja się teraz albuminą, a przedtem zwykłą krwią bydlęcą...grunt pod domy dają robotnikom darmo, a na budowę — małoprocentowe pożyczki... do wyrobu fornierów sprowadzono najnow-

¹⁾ Wspomnienie z wycieczki po Grodzieńszczyźnie sekcji powszechnych uniwersytetów regjonalnych Związku Pol. Naucz. Szkół Powszechnych. Lipiec 1950.

sze amerykańskie maszyny... Zbudowano już salę teatralną i urządzono park do zabaw, gdzie muzyka gra co niedziela... Z robotników fabrycznych zorganizowano też orkiestrę — chlubę nowej fabrycznej osady.

Moi towarzysze — nauczyciele mówili: o szkolnej, codziennej pracy na dalekiej prowincji i o twórczej idei regionalizmu, która każdą okolicę kraju i każdy najodleglejszy od centrum jego punkt chce podnieść do roli kulturalnego ośrodka; o naszych wędrówkach po nieznanym nam ziemiach Polski i o radości, że właśnie tu, nad Niemnem, znaleźliśmy nieoczekiwane świetną placówkę przemysłu, społeczne zamierzenia, dzielnych, twórczych ludzi... A potem, stanąwszy na progu nowozbudowanej teatralnej sali, poczęliśmy śpiewać...

Śpiewaliśmy proste ludowe i szkolne piosenki, z nadmiaru sił, z wdzięczności za dobre słowa i spojrzenia, z niemądrego, radosnego entuzjazmu.

Panna Stefa, tutejsza nauczycielka, śpiewała razem z nami, małe swe ręce zaplótłszy palcami o palce przybyszy — kolegów i koleżanek z dalekich stron, współbojowników w codziennej, zmudnej walce o fundamenty powszechnej oświaty.

Przerwano nam wołaniem, żebyśmy zaraz szli jeść... W drewnianej altanie, między drzewami, dymiły imbryki gorącej herbaty, na drewnianych, długich stołach piętrzyły się wędliny i chleb.

Tam właśnie upiliśmy się tą herbatą i radością, jak najwytrawniejszem winem.

Serca rosły nam wzruszeniem aż po ściśnięte gardła, ręce plaskały o siebie zawzięcie na wiwat, we sołe słowa zrywały się z ust i gubiły w powszechnym rozgwarze. Ktoś zaczął mówić, krzycząc, żeby go lepiej słyszano, a potem przemawiano już naprzemian; oni — że nas witają i cieszą się, żeśmy do nich przyjechali; i my także — że im dziękujemy i cieszymy się, żeśmy do nich przyjechali...

— Ja nie umiem mówić, proszę koleżeństwa! — wołała z pod gałęzi ciemnych drzew panna Stefcia swym cieniutkim głosem — ale ja chcę powiedzieć, że się bardzo, bardzo cieszę!

Ale wszystkich przekrzyczała pani ogrodnikowa. I ona chciała powiedzieć swoje słowo przy tak licznej gromadzie. Chciała nam wszystkim, tu obecnym, oświadczyć, że dużo widziała świata i ludzi — w Rosji, i Japonji, i na Sachalinie — ale takich dobrych, uczciwych, szlachetnych panów, jak tutejsi panowie Konopacy, nie widziała jeszcze za swego życia. Sobie fabrykę zbudowali, ale i o robotników dbają, jak o swoich. Okolica cała przez nich w dobrobyt wzrasta więc i ona na ich cześć chce zawołać „wiwat!“

Wołaliśmy chórem „wiwat!“ i śpiewaliśmy: „sto lat sto lat, niech żyją, żyją nam!...“

Rozkołysane od wiatru lampy, zawieszane na gałęziach drzew, tańczyły nam w oczach, jak gwiaz-

dy; orkiestra fabryczna grzmiała z ciemnych zarośli donszą fanfara. Z tej czarnej nocy, oślepieni wesołością, wwaliliśmy się tłumem do oświetlonej sali teatralnej. Muzyka razem z nami.

Tańczyliśmy teraz wszyscy razem, przemieszani przypadkowo, objęci serdecznie, tutejsi i przybysze, opętani jednym rozszalałym oberkiem: pan dyrektor Konopacki i rozśpiewana Halszka z Katowic; Maryna z Bochni i korespondent zagraniczny z Mostów; młody praktykant — politechnik z Warszawy — i miłutka Teczka z Krzemieńca; pan ogrodnik, wesóły kolega „Zawierucha“ i smukła Marysia; zasmolony robotnik fabryczny w długich butach i uczony, a bardzo młody geolog z stołecznego P. I. G. U. i Jadzia, i Zosia, i Stasia, i Hanka...

Przestawaliśmy tylko wtedy, gdy ktoś, najserdeczniej w tej chwili lubiony, wylatywał ku sufitowi z odskoczni sprężystych ramion. Wylisaliśmy wtedy chórem: „Sto lat...“, by za chwilę tańczyć znowu... Tylko tańcem i krzykiem potrafililiśmy wyładować uczucie ufności i swobody; świadomość narastających wewnętrznie sił na trud jutrzejszej roboty; wiarę w dobrą wolę swoją i cudzą; poczucie uniwersalnej, twórczej solidarności, wzajemną odruchową życzliwość.

Zmęczyliśmy się dopiero o północy, kiedy na zdeptaną podróżniami butami podłogę, z suchym chrzęstem poczęła się sypać słoma — złota, prężna słoma na posłanie.

Nie jesteśmy w naszej Ojczyźnie skłonni naco-dzień do entuzjazmu i nie mamy ku temu wielu powodów. Już dawno nauczyliśmy się ironją i sarkazmem pokrywać bezradne zwątpienie i śmiać się z rojeń naiwnych optymistów.

Dnie, które nastąpiły po tym rozszalałym wieczorze w fabryce Mosty koło Zelwian, nad rzeką Niemnem — nie wszystkie były promienne i radosne.

Ale zagubieni na kamienistych drogach, na których nie czeka nas żaden gościnny dom, wspominając chyba będziemy często ten wieczór entuzjazmu, my — którzyśmy go przeżyli.

Szczere twarze obcych, a serdecznych ludzi, lampy wśród drzew, rejwach orkiestry i tumult wiwatów w ciemnym ogrodzie.

I jeszcze tę chwilę, gdy, spleceni gorącymi dłońmi, my: z Warszawy, Wilna, Krakowa, Łodzi i Katowic — śpiewaliśmy chórem, głosami aż piskliwymi z nadmiernego, śmiesznego zapału:

*Hej, hej, hej, sokoly!
Omijajcie góry, doły!“ ...*

Tego wieczora wierzyliśmy wszyscy naprawdę, że je ominiemy!

AURA WYLEŻYŃSKA.

CI, CO POZOSTALI

(od specjalnej korespondentki)

Na Podolu, za czasów mojego dzieciństwa, rachuba czasu szła od odpustu; w Paryżu pory roku też nie pokrywają się z kalendarzem. Skoro miną ostatnie bale zielonego karnawału i wszystkie nagrody wyścigowe zostaną rozdane, zwyczaj mówi: „stań się lato!” — choć bywa to już zazwyczaj połowa lipca.

Początek lata — to okres, gdy zamykają się zimowe salony, a otwierają letnie; gdy zamiast „salons de the” miejscem spotkań staje się Lasek Buloński; gdy zamiast malowanych róż w Grand Palais, odwiedza się żywe róż w Bagateli. Środek zaś lata — to czas, gdy nawet bez względu na okropną pogodę, prywatni szoferzy wkładają białe płaszcze, a dzieciom ze szkółek, w nagrodę za dobrą naukę i grzeczne sprawowanie, wienczą główki wawrzynem i bibułkowymi kwiatami; gdy okna pałacików, szczelnie zamknięte, ukrywają skarby sztuki, a okna biedaków, na oścież otwarte, ukazują anemiczne ozdoby.

To jest czas rekordu tanioci — cały Paryż się wyprzedaje! Czas brzydkiej, ciężkiej pracy pozostałych, żeby pięknie i wygodnie było po powrocie tym, którzy, odpocząwszy po niepracy, wrócą się bawić.



...Mleczarka moja zamknęła sklep i jest „en vacances“...

Malarze też opuścili Paryż; w jesieni pokażą letnie wizje i blaskiem obrazów Południa uczynią mgłę znośniejszą. Pisarze rozjechali się do letnisk i swoich przyjaciół, skąd odpowiadają na ankiety pism: co pan ma na warsztacie? Kistermack zapowiada dwie nowe sztuki teatralne, a Maurice Rostand aż kilka.

Tylko Colette nigdy nie obiecuje, a zawsze wiele daje. Świeżo wyszła jej powieść „Sido” — fantomy dzieciństwa znów inne i w inną przebrane formę. Nie wiem, gdzie obecnie bawi „Notre Colette”, jak z dumą nazywa ją Francja, pewno w swej willi nad morzem Śródziemnem. Tam, w jakieś rano, przy kawie, przeczytała wiadomość, wstrząsającą cały pozostały w Paryżu Paryż: Henri de Jouvenel, najmłodszy (z usposobienia) senator, ożenił się z bardzo piękną wdową po jednym z licznych tu Dreyfusów.

— Charmant garçon! — uśmiechnąć się musiała na tę wieść poprzednia żona, którą mąż opuścił, zostawszy ministrem. Wiele z miłości do tego „charmant garçon” dała czytelnikom w jednej ze swych najpiękniejszych książek: „L'Entrave”. A co zachowała w sercu? Zapewne Colette przypomnieć sobie tego nie mogła, bo ulubiony pies upomniał się o jedzenie, a kot otarł się o ramię. Może tylko, dziś już pogodnie, choć zawsze bardzo błękitne oczy, pod chmurą włosów, pociemniały wspomnieniem burz.

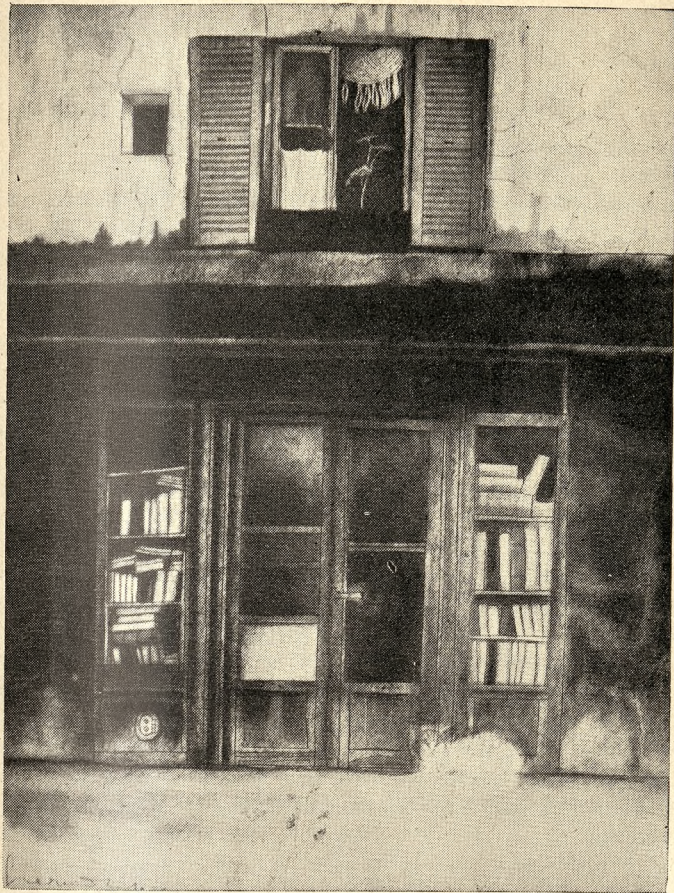
Wielcy krawcy, likwidując modę poprzedniej zimy, nową dla nowej gotują. I inną stwarzają kobietę. Każda suknia — to pewna epoka. Obecnie dla komisjonerów zagranicznych firm odbywają się pokazy modeli, które klientki zobaczą dopiero w jesieni.

Byłam u Tollmanna, na „brillante fête”, wydanej w tym celu. Między rzędami gości, zajmującymi kilka sal, krąży służba, roznosząc koktajle i ciasta. A także papierosy o złożonych naustnikach. Siedząca na wygodnych fotelach publiczność bez wahania sypie popiół na drogi dywan. Manekiny przy dźwiękach muzyki czynią nieco inne, aniżeli przed rokiem, ewolucje, gdyż nowy fason sukni nowych wymaga ruchów. Ciekawym pozwalają dotykać jedwabi i podają imiona, jakimi artysta krawiecki pomysł swój ochrzcił: „Parade d'Amour”, mieni się wspaniała tualeta z koronek: „Il était une rose” — różowa morowa; zielona, bardzo zielona, z wielkim pękiem czerwonej kokardy, wzorowała się na egzotycznych ptakach.

Stroje nadal nosić będą młode, bo młodość w dalszym ciągu jest w modzie. Tylko że osiąga się ją inną drogą: suknią powłóczystą, lekką, pełną ozdób, riusz, z trenem, który, zdawało się, tylko Sara Bernard mogła ładnie układać. Kobieta znów jest wysoka, wysmukła, w czarnej demonicznej, lub demonicznej czerwonej sukni. Trochę staromodna, z przed kilkunastu laty, odświeżona inną charakterystyką twarzy. Podobnie jak jazz odświeża walc: „Na falach Dunaju”...

Kto wie, jak będą wyglądały te kreacje, gdy zdejmie się je z manekinów, a włoży na stare angielski i kiedy między szeleczkami, podtrzymującymi materję — miast prawie całkowicie nagich, białych pleców — wyglądać będzie bogate, nieforemne ciało.

To będzie już następna moda, gdyż obecnie, bez różnicy płci, wieku i pogody nad morzem nosi się py-



...wyjechała dama z wypożyczalni książek...

jamy. Różnych kolorów. Gorące patryjotki wkładają narodowe barwy i pocięte są na pasy, jak sztandary. Ale zakryte od stóp do szyi. Gdzież jeszcze ześloroczne nagości? Pyjama, z nadmorskich najbardziej przyzwyczajony strój. Rywalizować z nim mogą jedynie krynoliny, z pod których wyglądały majteczki z koronkową szlarką. Jak na filmie z czasów walk o niepodległość Ameryki, w którym gra Buster Kaeton.

Właśnie bawi on w Paryżu. Artyści kinowi z tamtej półkuli tu przyjeżdżają na letnie wyuczasy. Ale, zbyt popularni, nigdzie zaznać nie mogą spokoju — napastowani zachwytem ulicy i aparatami fotograficznymi. Paul Morand mówi, iż dym magnezjowy jest aureolą dzisiejszych sław.

Buster Kaeton zresztą przyjechał nietylko na wakacje, ale też, aby „naśpiewać” międzynarodową rewję Holywoodu. Z polskiej strony brali w niej udział Hanka Ordonówna i Karol Hanusz.

Kina, korzystające z każdej sposobności, żeby wyprzeć teatr na drugie, a może i dalsze miejsce, nie sobie z lata nie robiąc, kręcą się nadal. Większość zaś teatrów zamknięta, prócz miejskich, honoru sztuki broniących, i tych, które nie tracą nadziei. „Chatelet” wielkimi afiszami ogłasza sensacyjne przedstawienie: „Malikoko, król murzyński”. Kogóż mogą bawić murzynki w białych koszulkach, gdy w pewnych dzielnicach Paryża co piąta osoba jest nieuropejskiego pochodzenia? Dobrze to było dla naszych poprzedników, karmionych bajeczkami Jachowicza: „Raz młody murzyn, jak węgiel czarny”... Dziś wiemy z własnego doświadczenia, że to porównanie jest licencją poetycką „Wysmarowany czarnym sadłem”.

W tym czasie cofnięto życie o wiek. Rocznicze zbliżają ubiegłe lata. Cóż znaczy choćby ich setka, je-

śli słońce tak samo wstało nad Kolumną Bastylji i tak samo zaszło za Panteonem... w dniu wybuchu Rewolucji Lipcowej, która jednego króla zrzuciła z tronu, aby innemu tegoż dnia dać miejsce.

Prezes ministrów, pan Tardieu, w imieniu rządu francuskiego, przypomniał całemu światu dzieje „Trois Glorieuses” — trzech dni, które zaważyły na losach Europy, bo rozpały ją do walk o wolność. Komuniści przeciw tej mowie nie protestowali. Zresztą, oni zawsze mogą być nieszkodliwi, skoro władze potrafią zawczasu zamknąć ich pod klucz — jak to uczyniono w Paryżu pierwszego sierpnia. Groźna zapowiedź krwawego porachunku spełzła na niczem; zdaje się, że dzięki temu strajk, wciąż jeszcze trwający w północnych departamentach, ma przebieg spokojny. Strajk ten i nas bardzo dotyczy, ponieważ emigranci polscy są tam w wielkiej liczbie.

15-ty sierpnia jest zapowiedzią końca lata. Niegdyś wielkie święto całego narodu — dzień imienin Napoleona III — fajerwerkami rozjaśniało miasto; dziś oddaje Paryż na pastwę prowincji. Ona to bierze udział w nabożeństwach w Notre Dame. Wieże rozdzwonione od rana do późnej godziny niesporów, skupiają wokół siebie lud pobożny.

Ostatnia chwila aby opuścić Paryż! Mleczarka moja zamknęła sklep i jest „en vacances”; fryzjer z naprzeciwka wywiesił kartkę, że jedzie nad morze; piekarka z rogu już chodzi po górach; wyjechała dama z wypożyczalni książek i dama z pralni chemicznej.

Trzeba też jechać!...

Na pustych ulicach spać będą spokojnie koty i spacerować będą modele Jana Czermańskiego...

Paryż.



Na pustych ulicach spacerować będą modele J. Czermańskiego...

Z KSIĄŻEK

Maksim Gorkij: „Foma Gordiejew“ — Tow. Wyd. Rój. Warszawa.

Z chwilą, kiedy dzieło literatury schodzi z ekranu aktualności, musi odwołać się do swojej wartości literackiej i mieć znaczenie dokumentu historii lub obyczajowości, o ile chce wyjść poza ramy swojej epoki. Warunkom tym „Foma Gordiejew“ odpowiada w zupełności. Jest on zgęszczeniem chmur na horyzoncie, z których lada moment upadnie piorun.

Charakterystyczne dla literatury rosyjskiej szukanie prawdy odbywa się w sferze dusznej, zadławionej własną sytością — kupiectwa nadwołżańskiego. Bohater nie jest bojowcem, tylko elementem, pokrewnym własnemu środowisku i z niego wyłonionym. Oscyluje między czarną mądrością swojej sfery, którą rewolucja lada moment wysadzi w powietrze — Majakim, a przejmująco krzykliwym socjałem — Jezowym. Jest, jak bezwładna masa na chwiejnej podstawie. Po donkiszotowej próbie rzucenia prawdy w twarz ojcom miasta i panom wielkiej rzeki, ośmieszony i odrzucony od nich, zwiększa szereg obłąkanych pątników swojej ojczyzny.

Gorkij proces ten uzasadnia piędź po piędzi, śledząc drogę żywota swego bohatera. Koloryt lokalny i obyczajowy stoi na poziomie tego ogromnego talentu.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Pan Lamberthier“ — sztuka w 3 aktach Ludwika Verneuil'a. Przekład Ireny Krzywickiej. Reżyserja Aleksandra Węgierki. Dekoracje St. Słimińskiego.

„Egzotyczna kuzynka“ tego samego autora, wystawiona jednocześnie w teatrze Letnim, jest napisana dla jednej kobiety. „Pan Lamberthier“ jest napisany dla dwojga aktorów z myślą o trzecim, niewidzialnym.

Trick autora polega na tem, że pogodne duo miłosne zmienia się co chwila w tragiczne trio, choć trzeciego głosu nie słychać. Jesteśmy świadkami konfliktu między małżonkami, ale istotą tego konfliktu, jego źródłem i tajemnym motorem jest niewidzialny, ale ciągle obecny, pan Lamberthier, który nawet po śmierci nie przestanie być zmorą, dławiając szczęście tych dwojga.

Miłość, zazdrość, zdrada, kłamstwo i morderstwo — pięć fatalnych stopni, po których człowiek stacza się na dno niedoli, rozpacz i szaleństwa — dają autorowi sposobność do puszczenia w ruch całego arsenału efektów melodramatycznych. Z sugestjonowani pierwszorzędną strategją teatralną, wierzymy w demoniczność pana Lamberthier, wierzymy, że Żermena jest niewinną ofiarą uwikłaną w jego szatańskie sieci. I kiedy w końcu pierwszego aktu Żermena odkłada słuchawkę telefonu z jękiem: „ach, ten człowiek, ten człowiek!“, zdaje się nam, że kurtyna zapada nad tajemnicą piekielnego szantażu.

Tymczasem — nie z tego. Pan Lamberthier jest poprostu bogatym bankierem, który sobie kupił młodą, piękną i biedną dziewczynę. Potem założył jej magazyn mód, potem, kiedy się zakochała, ułatwił jej małżeństwo, sfinansował uroczę gniazdko, a sam postanowił ogrzewać się przy ognisku domowym nowożeńców w patryjarchalnym charakterze ojca chrzestnego.

Pan Lamberthier wcale nie jest demoniczny. Poprostu zna się na ludziach i umie rachować. Wie, że Żermena wróci do niego, kiedy... będzie potrzebowała pieniędzy. I Żermena wraca. Jej hojny protektor a zły duch nie przeczuwa, że jego finansowo-erotyczne operacje skończą się dla niego fatalnie, bo

w grę wszedł ktoś trzeci, kto się nie chce dzielić, nie chce należeć do ohydnej wspólki.

Tę w gruncie rzeczy mocno trywjalną, a chwilami grubo sensacyjną historję autor umiał owiać skrzydłami nie natchnienia wprawdzie, ale pewnej poetyczności. To miłość prawdziwa i gorąca, miłość Żermeny i Jerzego daje nam zapomnieć chwilami o tem, że sama jest kwiatem na bagnisku. Wyziewy tego bagna zatruly duszę Żermeny aż do dna. Jej psychika jest typową psychiką kobiety-niewolnicy, która w mężczyźnie widzi zawsze pana i władcę: w jednym, bo jest przez niego kupiona, w drugim — bo go kocha.

Jedyną bronią niewolników jest zdrada. Zatrutem ostrzem zdrady i kłamstwa Żermena zabija swoje własne szczęście i spokój ukochanego. Czyni to zresztą w najlepszej wierze. Najlepszymi chęciami brukuje piekło udreki sobie i mężowi. W swej naiwności nieodrodzonego dziecka ulicy nie jest nawet niemoralna, jest tylko amoralna. Miłość usprawiedliwia dla niej wszystko: zdradę, prostytucję, morderstwo, skazanie na śmierć niewinnego człowieka.

Tę religję miłości umiała Modzelewska intuicyjnie wcielić. Jej Żermena nie była istotą złą lub dobrą: była jedynie kobietą. Węgierko wyreżyserował sztukę świetnie, grał mniej przekonywująco. Może dlatego, że podszedł do swej roli od strony rozumowej, podkreślając przedwzyskiem to, co możnaby nazwać „kompleksem pana Lamberthier“. Zresztą wchodzą tu w grę i warunki zewnętrzne.

Przekład Ireny Krzywickiej doskonały. Ani razu nie czuło się francuszczyzny. Sztuka niewątpliwie będzie miała powodzenie.

S. P. O.



Teatr Mały: „Pan Lamberthier“. Marja Modzelewska i Aleksander Węgierko.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

MOŻEMY ŻAĐAĆ W HANDLU TANICH OWOCÓW.

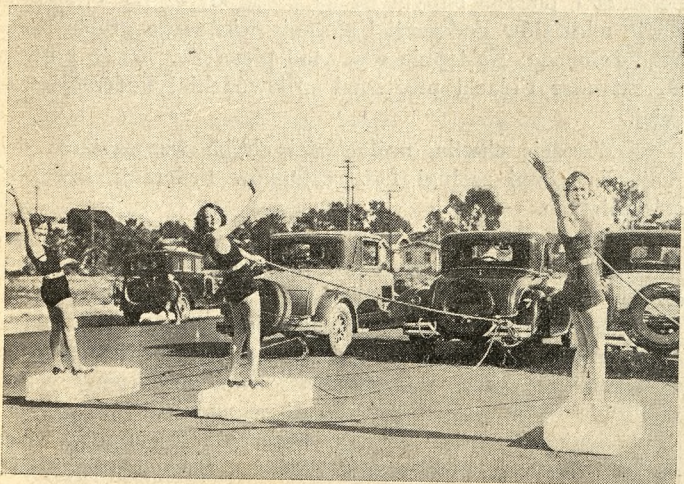
Ważne dla życia gospodarczego postanowienie powzięto w Ministerstwie Przemysłu i Handlu: wydatnego zniżenia ceł na owoce zagraniczne, oraz podwyższenia ich kontyngentu przywozowego. Nowa taryfa obejmuje: winogrona francuskie, włoskie, hiszpańskie, rumuńskie, jugosłowiańskie i bułgarskie, śliwki, renklody, kawony i banany. Cło na niektóre owoce zniżone zostało z 2 zł. 50 gr. do 15 gr. za kilogram. Kontyngent na winogrona podwyższono z 10 do 200 wagonów.

Znaczenie tej nowej taryfy handlowej jest ważne; obniżyć powinno automatycznie ceny owoców krajowych. Wiemy wszyscy, że owoce są konieczne dla zdrowia, wiemy również, że dotychczas ceny owoców krajowych, poza paru tygodniami (nie raz zaledwie kilku dniami), gdy jakiegoś gatunku jest obfitość, są niedostępne dla ludzi mniej, a nawet średnio zamożnych. Pomimo zasady samowystarczalności, nie możemy wyrzekać się owoców, tembardziej, że dozwolony obecnie import zrównoważony zostanie eksportem naszych owoców. Dziwne to bowiem, ale prawdziwe, że drożyzna niektórych spowodowana jest ich eksportem. Np. morele zaleszczyckie byłyby, jak twierdzą znający te stosunki, o połowę tańsze, gdyby szły wyłącznie na rynki wewnętrzne, ale dotychczas *trzy czwarte ich idzie zagranicę!*

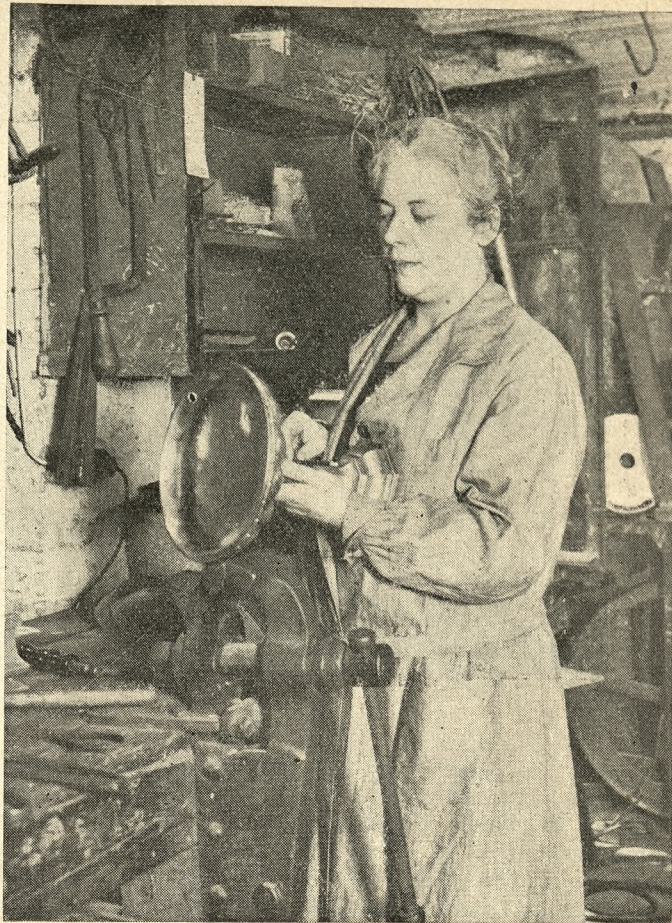
Nowa taryfa weszła w życie w końcu lipca, tymczasem o dziwo! w handlu niema dotychczas żadnych jej skutków. Winogrona wprawdzie zaczęto sprzedawać od 4 zł. za kilogram, ale rezultat to nie nowej taryfy, tylko olbrzymiego urodzaju tych owoców na Węgrzech i w Rumunji. Sfery kupieckie jakoby urzędownie nie mają jeszcze możliwości zastosowania ustawy. Poza to, już odzywają się głosy, że cała niżka utonie w... portfelach wielkich hurtowników. Do tego nie można dopuścić. Organizacje gospodarcze, kobiece powinny dopilnować tej sprawy, nadto starać się jeszcze o jedną zmianę w taryfie: o zniżenie cła na pomarańcze, które są prawdziwym słońcem pożywienia, niezbędnym owocem dla dzieci i które w całej Europie, z wyjątkiem Polski, mają wolny import.

LETNIA ŚLIZGAWKA.

Oryginalny sport wymyśliły sobie kalifornijki: nie mogą używać normalnej ślizgawki, suną na wielkich taflach lodowych, przyczepionych z tyłu samochodów. Jak długo trwa ta szlichtada, wobec kalifornijskich upałów, łatwo przewidzieć, ale damy tamtejsze mogą sobie na taką fantazję pozwolić.



Szlichtada za samochodami.



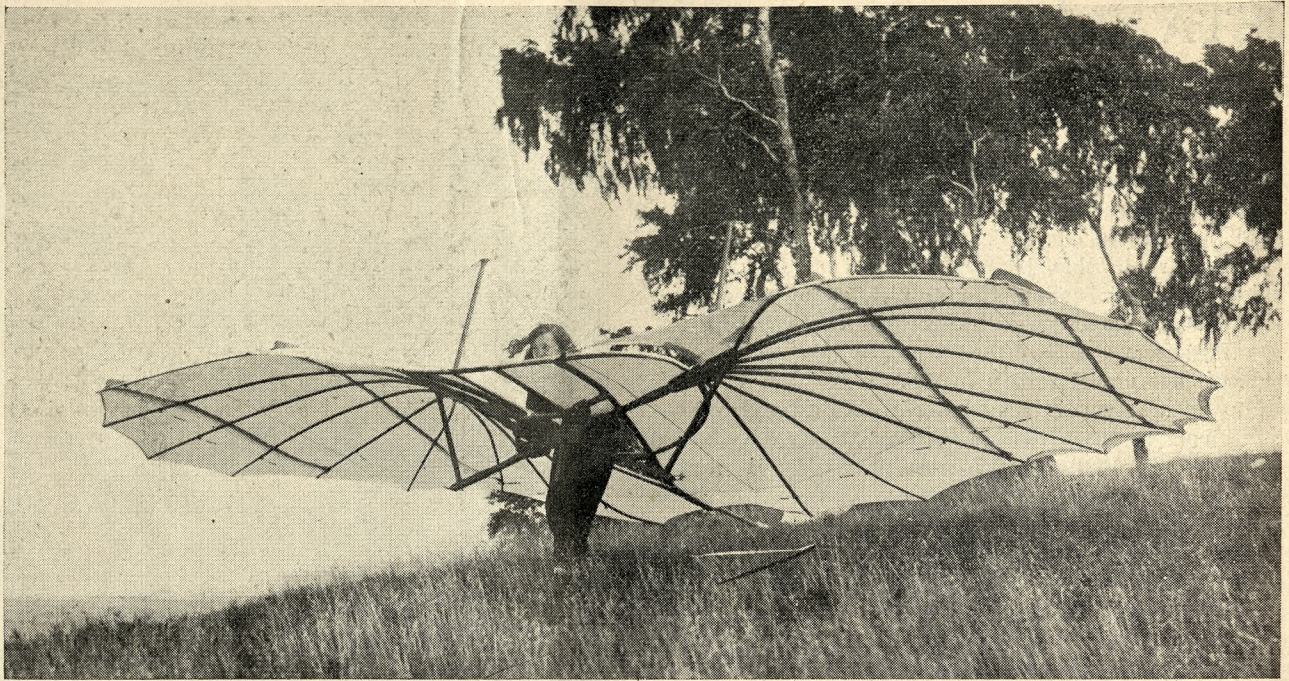
Pani kotlarka.

KTO W RONDŁACH GOTUJE, MOŻE I ROBIĆ RONDLE.

Kobiety dążą obecnie do zdobycia pracy we wszystkich jej gałęziach, nie gardząc wcale rzemiosłami. Zwłaszcza zagranicą, obok licznych specjalnych szkół zawodowych, odbywają jeszcze kobiety praktykę w tych zawodach, które dotychczas były udziałem mężczyzn. Ostatnio w Berlinie pani Wagner zdała z powodzeniem egzamin na majstra kotlarskiego.

NOWE PRAWA AMERYKANEK.

W sprawie, narodowości kobiet zamężnych, która była ostatnio tematem obrad Komisji Kodyfikacji prawa międzynarodowego w Hadze, poszczególne kraje stosują różne normy. Ogólnie panuje przekonanie, że Ameryka dała już swoim obywatelkom pełne równouprawnienie i prawo zachowania swej narodowości w razie małżeństwa z cudzoziemcem. Tymczasem dotąd było zupełnie inaczej. Amerykanka, zaślubiająca cudzoziemca, jeżeli spędziła dwa lata w kraju męża, lub pięć lat poza Stanami Zjednoczonymi, traciła prawo obywatelstwa panieńskiego. Dopiero przed dwoma tygodniami Prezydent Hoover podpisał nową uchwałę Kongresu amerykańskiego w tej sprawie. Dzięki uprzejmości redaktorki tygodnika „Equal Rights“, p. Ruby A. Black, otrzymaliśmy od razu tekst tej uchwały. W myśl jej, każda obywatelka Stanów zatrzymuje na zawsze panieńską przynależność państwową. Wyjątek od tego prawa stanowi tylko wyjście za cudzoziemca, niezdolnego do zostania obywatelem amerykańskim: chińczyka, japończyka i hindusa.



W powietrze, jak ptak!

KOBIETA NA SKRZYDŁACH.

Obok samolotów motorowych, czynione są od dość dawna próby żaglowców powietrznych. Aparat taki skonstruował kiedyś Niemiec, Lilienthal. Jest to rodzaj skrzydeł, które lotnik przymocowuje do siebie. Próby Lilienthala zakończyły się katastrofą. Obecnie jednak podjął je nanowo Hans Richter z większym powodzeniem. Między adeptami żaglowo-skrzydłowego lotnictwa znajduje się i kobieta. Rycina nasza wskazuje moment jej wzlotu, z tego samego wzgórza, z którego startował Lilienthal.

INTERNAT DLA DZIEWCZYNEK.

W dniu 1 września otwarty zostanie przy ul. Myśliwieckiej 8/10 internat społeczno-dobroczynny, pod nazwą Opatrzność, przeznaczony dla młodzieży żeńskiej od lat 15-u. Informacji w sprawie umieszczenia zasięgnąć można u p. M. Hołyńskiej (Krakowskie Przedmieście 30, m. 17, od 3 — 4 i pół) i u p. M. Lewickiej (Aleje Ujazdowskie 25, od 10 — 1-ej i od 2 — 7-ej).

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W oczekiwaniu na rezultat wrześniowych wyborów do parlamentu, nacjonałści niemieccy nie zaniebują swej polityki szowinizmu ad absurdum. Świeżo pozyskali dla swej akcji nawet pewnych przedstawicieli rządu. Z dnia na dzień opinia Europy zaalarmowana została przemówieniem ministra Treviranusa; dygnitarz ten uznał za stosowne powiedzieć między innymi, co następuje:

„Z ciężką duszą myślimy o rozdartym kraju nadwiślańskim, tej niezagojonej ranie we wschodnim skrzydle Rzeszy. Zmariało skrzydło, będące płucami państwa niemieckiego. Myślimy o tem, jak pod niegodziwym naciskiem Wilson zmuszony był do nienaturalnego odcięcia Prus Wschodnich, na jak dwoistą pozycję skazany został niemiecki Gdańsk. Przyszłość polskiego sąsiada, który swą potęgę państwową zawdzięcza w nie-małej mierze przelanej krwi niemieckiej, może być dopiero wtedy zagwarantowana, kiedy Polska i Niemcy nie będą trzymane w wiecznym niepokoju przez niesprawiedliwe wytknięcie granic.

Zatamowana krew Wschodnich Niemiec pozostaje troską i niebezpieczeństwem Europy“.

Effekt był pierwszorzędny, jak się domyśleć łatwo. Nasz minister spraw zagranicznych, p. August Zaleski założył protest przeciwko temu wystąpieniu. Zdaje się, że będzie ono miało jeszcze jeden ważny skutek: oto wyleczy z sympatji i płonnych nadziei naiwnych germanofilów francuskich, którzy tak parli do ewakuacji Nadrenji. Po prowincjach od Polski, łatwo będzie przecież upomnieć się o Alzację i Lotaryngję od Francji.

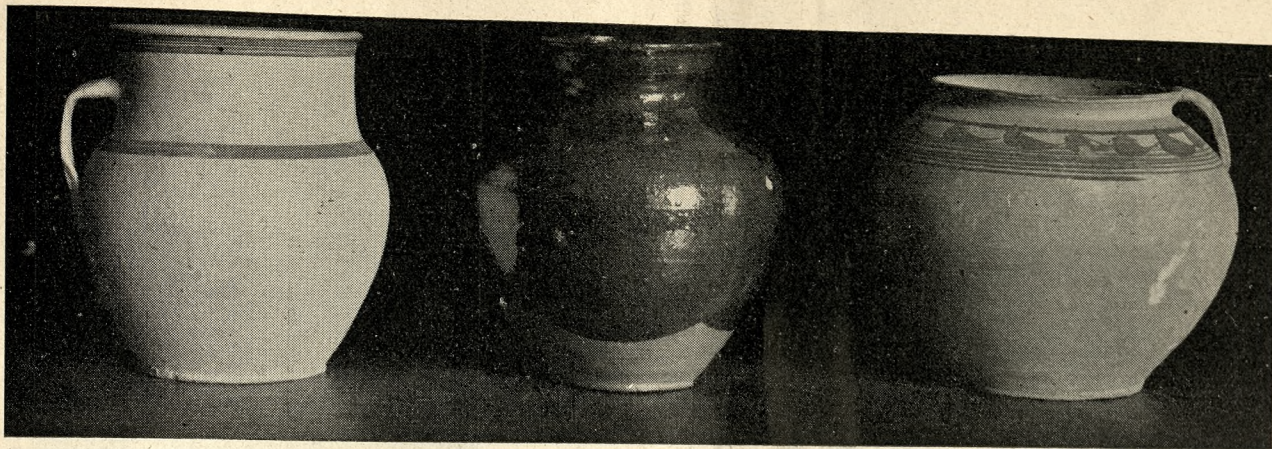
O co innego walczyły rzesze narodów w czasie wielkiej wojny; to też dzielną nutą męskiej odpowiedzi na te niemieckie zakusy zabrzmiały słowa prezesa Fida'cu, pułkownika F. W. Abbota, milego gościa, entuzjastycznie przyjmowanego na zjeździe Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Po słowach gorącego uznania dla Warszawy i Polski, pułkownik Abbot oświadczył, że powinna ona być „zawsze popierana przez pokój mocny i trwały, *pokój, zasłużony przez ofiary jej obywateli*, pokój, oparty na traktatach nierozwiązalnych“.

Cały zjazd Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, zrzeszenia, obejmującego, zgrupowanych w Federacjach wojewódzkich i 26 związkach, 400 tysięcy byłych kombatantów polskich, miał charakter niezwykle uroczysty. Nabożeństwo i kazanie w katedrze wygłosił złotousty kapłan patrijota, ks. biskup Bandurski, poczem odbyła się na placu Marszałka Piłsudskiego rewja oddziałów Federacji i złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza. Następnie wręczono pierwszy, świeżo poświęcony sztandar Fida'cu prezesowi wojewódzkiej Federacji wileńskiej.

Wreszcie chwila, najbardziej chyba wzruszająca: dekoracja Krzyżami zasługi 19-tu członków Federacji, inwalidów-oციemniałych.

Popołudniu odbyła się Akademia w Ratuszu, wieczorem rauf w pałacu Rady Ministrów, na drugi dzień zaś właściwe obrady zjazdu w sali Rady Miejskiej.

Imponująco wypadły również dożynki w Spale. Dla złożenia hołdu panu Prezydentowi Rzeczypospolitej zjechały delegacje włościańskie ze wszystkich stron kraju. Ci wiejscy goście w liczbie 12-tu tysięcy przeciągali w malowniczych grupach, symbolizujących prace rolnika, wręczając Dostojnemu Gospodarzowi Spawy i Polski szereg wieńców. Pochód ożywiały tradycyjne śpiewy żniwiarские. Po południu rozpoczęła się zabawa z tańcami, trwająca do późnego wieczora.



Garnki archaiczne.

GARNKI ARCHAICZNE

Zwyczaj popieranie przemysłu ludowego jest rozumiane, jako doskonalenie techniki i środków produkcji danego przemysłu, oraz pewien kierunek artystyczny, narzucony z góry. Jak wskazuje doświadczenie, tego rodzaju popieranie daje fatalne rezultaty, gdyż wykoszlawia twórczość etniczną, staje się jej nieudaną stylizacją, która zatracza właściwe wartości sztuki ludowej; jej ściśle związanie z prymitywną techniką i materiałem, oraz tradycje wypróbowanej przez stulecia kultury.

Istnieje drugi sposób popierania sztuki ludowej, prostszy i bardziej niezawodny. Nie narzuca on żadnych kierunków, nie uczy, a tylko zachowuje sztukę ludową. Wpływ jego polega tylko na odrzuceniu wszystkiego, co może tę twórczość wypaczyć i wykoszlawić. Popieranie polega na umocnieniu tego, co zamiera, na dostarczeniu przemysłowi zbytu racjonalnego, nie mechanizującego wytwórczości, kierowanego przez ludzi o dużej kulturze.

W garncarstwie ludowym zachowały się najstarsze tradycje formy i techniki, sięgające czasów prasłowiańskich. W niektórych miejscowościach województw wschodnich — w Mirze woj. Nowogródzkiego, w powiecie Włodawskim na Lubelszczyźnie, w Horodnie woj. Poleskiego — zachowały się garnki typu archaicznego, różniące się mało czem od ceramiki z kurhanów. Technika jest w istocie zdumiewająco prymitywna. Niektóre garnki są nie wypalane, ale wprost „pieczone”. Niema mowy o polewie. Służą one do gotowania w piecu, albo do kwaszenia mleka, które tłuszczem swoim zasklepia przeciekające pory gliny.

Formy tych garnków są niesłychanie celowo wypracowane i zastosowane do użytku, do gotowania w piecu między płonącymi polanami. Najstarsze zapewne i niewątpliwie najprymitywniejsze są garnki z Polesia, białe i t. zw. garnki dymne — i jedne i drugie niepolewane. Kolor białych garnków horodeńskich zależy od rodzaju gliny, natomiast garnki czarne, lub siwo-srebrne, czyli „zadymione”, wypalane są bez dopływu powietrza, wskutek czego zwykła czerwona glina czer-

nieje. Im więcej w glinie tlenków żelaza, tem garnki stają się czarniejsze.

Najładniejsze garnki dymne pochodzą z Miru, z Horodna, z powiatu Włodawskiego, z Huculszczyzny. Mają one toczony kształt urn przedhistorycznych i piękną barwę czarną lub czarno-srebrną. Zachwycają znawców artystyczną doskonałością formy. Zwłaszcza duże, wydęte, wyglądają, jak wspinałe archaiczne wazy i mogą ozdobić najpiękniejsze mieszkanie; niezwykle dekoracyjnie wyglądają w nich kwiaty i gałęzie kwitnące.

Równie piękne są białe i czerwone niepolewane garnki horodeńskie; ozdobione leciutkim ornamentem z gliny czerwonej, przypominają ceramikę starogrecką. Natomiast zdobienie na garnkach czarnych przedstawia się, jak srebrzysty, gładki bardzo dyskretny ornament na tle matowym.

Im większa jest kultura społeczeństwa, tem bardziej wzrasta szacunek i zamiłowanie do dziedzictwa przeszłości, do sztuki prymitywnej, archaicznej, posiadającej formę, wypracowaną przez stulecia.



Garnki o typie archaicznym w artystycznym wykonaniu.

Te właśnie proste garnki, tak bardzo przypominające wykopaliska z kurhanów, stają się ozdobą mieszkań najkulturalniejszych. Ręka artysty cofa się przed przerabianiem i poprawianiem tego, co jest owocem wiekowych doświadczeń. Inna sprawa, że życie zmienia swe wymagania, inne są kuchnie, inne piece! To, co było niegdyś przeznaczone do powszechnego użytku, zachowało się w niektórych zapadłych kątach. W takim Horodnie istnieje przemysł i handel, jak za czasów, mniej więcej, Rzepichy.

Niewątpliwie życie zmiecie te ciekawe przytki; nowe potrzeby stworzą nowe typy garncarstwa. Jednakże w imię kultury trzeba zachować te prastare, piękne formy, chociażby w mniejszej ilości. Przystają one coraz bardziej być przedmiotem codziennego użytku, a stają się dekoracją w mieszkaniach estetów, znawców, miłośników. Niska cena pozwala je nabyć każdemu inteligentowi. Na Zaduszki czarne garnki dymne znalazły samorzutne zastosowanie na grobach. Stawiano je z oliwą płonąca na mogilkach, wskrzeszając jakgdyby starożytnie słowiańskie tradycje.

Chcielibyśmy, aby życie znalazło jeszcze inne zastosowania dla tych czystych, przepięknych form, ażeby nie zanikły, lecz, dzięki nowemu rynkowi zbytu, mogły istnieć i nadal. Konflikt ten ocenia należycie i stara się rozstrzygnąć w sposób najbardziej celowy Ceramiczna Stacja Doświadczalna Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Warszawie.

HODOWLA ROŚLIN CEBULKOWYCH

II.

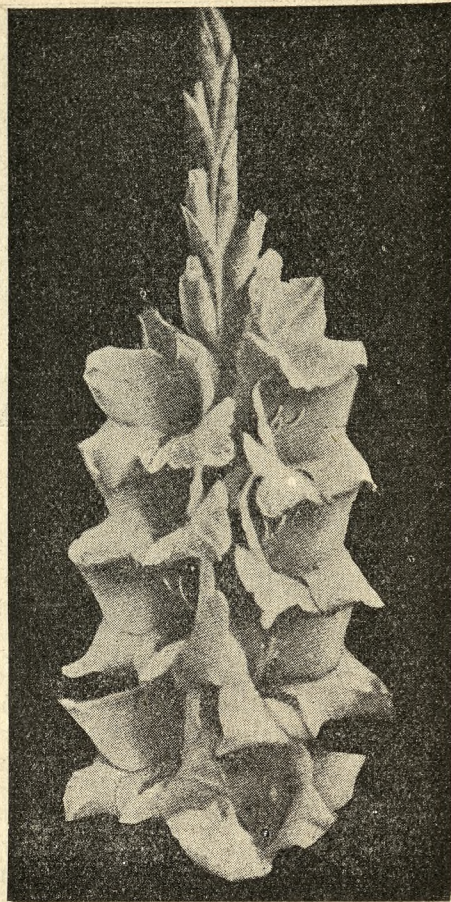
MIECZYKI, CYNOBRÓWKA, HIACYNTY

Mieczyk (*Gladiolus*) jest rośliną cebulkową o liściach mieczowatych, wspaniałych kwiatach lejkowatych, które kwitną od lipca do października, a niejednokrotnie, w czasie długotrwałej, łagodnej jesieni, aż do mrozów.

Mieczyki lubią ziemię gliniasto-piaszczystą i, jak wszystkie rośliny cebulkowe, boją się świeżego, nieprzeżniętego nawozu. To też miejsca, przeznaczone pod hodowlę mieczyków, należy nawozić jesienią dobrze przegniłym krowieńcem. Do sadzenia cebul przystępujemy w drugiej połowie kwietnia. Sadzimy je w odstępach 20—30 cm. na kilka cm. głęboko. Cebula, płytko posadzona, daje krzak chwiejny, który przy najmniejszym wietrze kładzie się na ziemi, a najczęściej łamie. Rośliny, wadliwie posadzone, nie są w stanie wydać krzaku prawidłowego: zazwyczaj gnie się on odrazu przy ziemi i wyrasta zniekształcony.

Wskazany jest system sadzenia cebulek mieczyków co dwa tygodnie. Jeżeli rozpoczniemy sadzenie w początkach kwietnia, a powtórzymy je w połowie tego miesiąca, osiągniemy w ten sposób rośliny, zakwitające nie jednorazowo, a w pożądanym odstępach.

Powracając do „głębokiego sadzenia” cebulek, muszę zwrócić uwagę na konieczność unikania zbyt głębokiego sadzenia, które bywa powodem gnicia cebul kwiatowych. Normą, którą się kierujemy, chcąc posadzić mieczyki prawidłowo, będzie osadzenie cebuli nie głębiej, niż na 8 cm. w ziemi.



Gladiolus gandarensis hybridus.

Cebula wydaje roślinę o jednej, lub kilku łodygach kwiatowych. Kwiaty są zebrane w kłosa. U nowych odmian, wielokwiatowych, kielich dochodzi od 15 do 20 cm. średnicy.

Wśród mieczyków spotykamy wszystkie zabarwienia, z wyjątkiem niebieskiego. Kwiat mieczyka odznacza się nie tylko dekoracyjnością ogrodową, ale jest równocześnie wspaniałym kwiatem bukietowym, który za brak zapachu płaci wyjątkową wprost trwałością.

Chcąc osiągnąć piękne kwitnienie mieczyków, zasilamy je dodatkowo już po posadzeniu, a mianowicie wyścielamy ziemię, pokrywającą cebulę, warstwą nawozu, chroniąc ją w ten sposób przed wysychaniem i zasilając, bowiem woda deszczowa spłukując powierzchnię ziemi, doprowadza do korzeni rośliny odżywcze soki.

W okresie upałów mieczyki wymagają obfitego polewania, inaczej tracą siłę pięknego i obfitego kwitnienia; natomiast lata wilgotne nie tylko pozwalają na zaniechanie tego zabiegu, ale wykluczają go — nadmiar wilgoci jest również szkodliwy dla mieczyków, jak nadmierna susza.

W końcu października przystępujemy do wyjmowania cebul z ziemi. Tylko wówczas, jeżeli jesień jest wybitnie łagodna i sprzyja długiemu kwitnieniu, można pozostawić cebule w ziemi do chwili, kiedy rośliny obumierać zaczęły; nie wolno jednak odkładać przeniesienia cebul kwiatowych pod dach aż do chwili nastania silnych jesiennych przymrozków, gdyż mieczyki nie znoszą mrozu.

Wyjmowanie cebul z ziemi powinno się odbywać w dzień pogodny. Przystępując do tej czynności, ści-

namy przedewszystkiem łodygę, starając się nie uszkodzić liści, poczem zasuszamy cebulę, odłączamy od niej zeschnięte liście i szereg małych cebulek zarodnikowych, które każda wykształcona już cebula wytwarza dokoła siebie.

Drobne cebulki mieczyków odznaczają się, w przeciwieństwie do cebul starych, dużą odpornością na mróz. Dlatego też, używając cebulek zarodnikowych do siewu, możemy zarówno wysiewać je jesienią na odpowiednio przygotowanych zagonach rozsadnikowych, jak też i przechować je do wiosny i wykonać wiosenny siew w inspekcje. Jesienny siew młodych cebulek przyspiesza dochowanie się rośliny, przygotowanej do kwitnienia, gdyż cebulki, posiane jesienią, wschodzą, to znaczy puszczają liście, w ciągu najbliższego lata i zakwitają na trzeci rok po wysianiu; gdy przeciwnie, wysiane na wiosnę, leżą nieraz rok cały beczynnie w ziemi i tem samem zakwitają z poważnym opóźnieniem.

Po jesiennym siewie cebulek zarodnikowych, z chwilą nadejścia mrozów, zabezpieczamy zagon, lub zimny inspekt, w którym zostały wysiane, warstwą suchych liści, lub słomiastego nawozu, aby je ustrzec przed wpływami atmosferycznymi. Z nadejściem wiosny zdejmujemy przykrycie i pozostawiamy cebulki na miejscu, a jesienią postępujemy z niemi tak, jak z cebulami starymi, to znaczy wyjmujemy z ziemi i przechowujemy w miejscu suchym, zabezpieczonym od mrozu, ułożone wprost na półkach drewnianych.

Do najpiękniejszych zaliczamy odmianę mieczyków, powstałą z krzyżowania odmian wielkokwiatowych, odmiana ta znana jest pod nazwą *gladiolus gandavensis hybridus*. W grupie tej spotykamy kwiaty o zabarwieniach następujących: białe, czerwone, lososiove, lila, fioletowe, różowe i żółte.

Gladiolus primulinus — mieczyk pierrwiosnko-



Cynobrówka — Montbretia.



Hjacynty ogrodowe.

my zakwita wcześniej — kłosa luźne, barwy przeważnie żółta i pomarańczowa.

Cynobrówka — montbretia crocosmiaeflora — jest rośliną, pokrewną mieczykom. Hodowla, jak mieczyków, z cebul kwiatowych; czas kwitnienia od lipca do października. Ozdobna roślina ogrodowa, jednocześnie nadająca się do bukietów, trwała i dekoracyjna. Barwy: cynobrowa, pomarańczowa, żółta; kłosa luźne, kwiat przypomina budową mieczyki; kielichy niewielkie.

Hjacynty. Hjacynty, hodowane w gruncie, są najmilszą ozdobą naszych ogrodów. Zakwitają wczesną wiosną, wydając kwiaty wspaniałe, o różnorodnym zabarwieniu i upojnej woni.

Hjacynty wysadza się jesienią w grunt, specjalnie przygotowany i przepuszczalny. Cebule sadzić można od września aż do końca listopada, jednakże najodpowiedniejszą porą jest miesiąc październik. Przystępując do wysadzania cebul, kopujemy rowki głębokie na 20 cm. i wypełniamy je mieszaniną ziemi kompostowej, przygotowanej na podstawie przegniłego obornika (krowieńca) i piaszczysto-gliniastej ziemi ogrodowej. Doprawiając ziemię, kierujemy się normą następującą: jedna trzecia kompostu, dwie trzecie ziemi piaszczystej.

Jeżeli grzęda, lub kwietnik, na którym hodujemy hjacynty, nasuwa wątpliwości co do stopnia przepuszczalności gleby, dajemy w rowkach, przygotowanych pod cebule, warstwę żwiru i dopiero na niej układamy warstwę powyżej omówionej mieszaniny. Cebule sadzimy co 15 cm. jedna od drugiej, wsiskając je lekko w ziemię i wypełniając rowek po posadzeniu ziemią ogrodową. Na zimę, dla ochrony przed mrozem, plantację hjacyntów przykrywamy warstwą igliwia. W słomie, lub nawozie słomiastym, jakich używa się też do nakrywania posadzonych cebul, lubią gospodarować myszy, które niszczą cebule kwiatowe. Warstwę igliwia należy usunąć z nastaniem pierwszych ciepłych dni wiosennych.

W okresie rozwoju dobrze jest zasilać hjacynty przez polewanie gnojówką (rozcieńczoną i dobrze wy-

stała); jeżeli wiosna jest sucha, należy pamiętać o polewaniu hiacyntów; polewamy je niezbyt często, jednak bardzo obficie.

Okwitłe hiacynty pozostawiamy w ziemi aż do lipca. W lipcu wyjmujemy je, przesuszamy na otwartym powietrzu i wycieramy każdą cebulę kawałkiem miękkiego sukna. Aż do chwili powtórnego sadzenia należy przechowywać cebule w chłodnym, suchym i przewiewnym miejscu, strzegąc je przed myszami. Najlepiej układać na półkach w spiżarni, przesypując warstwami suchych trocin.

Cebule hiacyntowe, hodowane w gruncie, wydają wspaniałe kiście kwiatowe. Dobrem zużyciem cebul hiacyntowych, pędzonych w doniczkach, jest wysadzenie ich jesienią w grunt, nie nadają się one bowiem do dalszego pędzenia, wydając w doniczkach kiście kwiatowe ubogie, lub nie wydając ich wcale; natomiast hodowane w gruncie, w warunkach sprzyjających, mają wszelkie dane potemu, aby wystrzelić w kwiat wspaniałe.

O hodowli lilij, narcyzów, tulipanów pomówimy w następnym numerze. *Wanda Dobrzańska.*

PO POWROCIE

Pootwierane szafy i szuflady, porozrzucane drobiazgi, ogólny nieład w pokoju, zamknięte duże walizy i kufrы. Naturalnie — wyjazd, powrót wakacyjnego ptaka do opuszczonego chwilowo domu, który po jego wyjeździe stał się tem, czem jest każde gniazdo po odlocie ptaka: pustym szkieletem.

Na pograniczu wyjazdu i powrotu, obok panującego zewnętrznego nieładu, panuje taki sam wewnętrzny nieład. Sprzeczne myśli i sprzeczne uczucia. Żal pięknego widoku, który rozciągał się dokoła, świeżości poranków, ciszy wieczorów i swobody, zdobytej i okupionej całorocznym trudem. A jednocześnie ogarnia niecierpliwosć powrotu do obowiązków podjętych lub narzuconych, których wypełnienie stało się nieodzowną potrzebą i do własnego domu, który pozostał takim, jakim go sobie stworzono.

„Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“. Z wizją opuszczonego przelotnego postoju i z obrazem stałego „miejsca zamieszkania“ powraca się do domu. I czy to będzie monotonny stukot kół kolejowych, czy nierówne kołysanie okrętu, warkot samolotowego silnika, czy szybki pęd auta — zawsze ponad wrażeniami powrotnej podróży i poza wspomnieniami (ach, jakże często rozkosznymi!) dominuje świadomość powrotu „do rzeczywistości“, do codziennego kieratu.

Zapas zdobytych sił, odprężone nerwy dobrze usposabiają do tego, co czeka, a w każdym razie niewątpliwie uodporniają na trudy i przeciwności.

Ażeby jaknajdłużej utrzymać ten status quo, trzeba zorganizować sobie jaknajprędzej i jaknajlepiej normalne warunki domowe.

Tylokrotnie już mówiliśmy, że dom powinien być ostoją dla każdego, mocną opoką, na której się opiera i najbardziej kochanym, swoim miejscem na świecie, powtarzać więc tego nie trzeba. Ale, wychodząc właśnie z tego założenia, będziemy ciągle mówili, że dom musi być dobrze zorganizowany, wygodny, czysty, estetyczny i dostosowany do usposobienia i upodobań mieszkańców. Powracając, trzeba o nim myśleć i zgóry sobie uplanować, co i jak robić,



Poufna pogawędka po powrocie.

ażeby wyprowadzić go ze stanu chaosu w stan normalny. Zasada ta obowiązuje, bez względu na to, czy dom nasz składa się z jednego, czy też z wielu pokoi.

Jeżeli pozostawiliśmy w nim kogoś, kto nad nim czuwał i wydzielił wcześniej odpowiednio dyrektywy — zastaniemy go w czystości i porządku. Okna przezroczyście i lśniące, drzwi bez plam, o połyskliwych klamkach; posadzki wywoskowane, meble i pościel potrzepane. W tych szczęśliwych warunkach można w przeciągu dwóch — trzech dni doprowadzić dom do normalnego wyglądu. Pozostanie bowiem tylko założenie firanek, zdjęcie pokrowców z mebli, rozłożenie dywanów, ustawienie drobiazgów i kwiatów.

Rozpakowywać się w takich warunkach należy ostrożnie, szanując pracę, włożoną w porządkowanie. Najlepiej pootwierać szafy i szuflady, wycisnąć je, zrobić w nich porządek i dopiero układać na właściwe miejsca rozpakowane rzeczy. Przytem segregować od razu wszystko: oddzielnie czystą bieliznę, oddzielnie brudną, książki, drobiazgi toaletowe, ubranie. W ten sposób uniknie się chaosu i widoku porozrzucanych rzeczy, które bynajmniej nie przyczyniają się do estetycznego wyglądu domu. Lepiej stanowczo parę dni mieć w pokoju kufer, lub walizę, z których się wyjmie systematycznie wszystko, aniżeli rozpakować się od razu i patrzeć na stosy rzeczy, rozrzuconych po krzesłach, stołach i łóżkach.

Zupełnie inaczej przedstawia się powrót do domu, który przetrwał lato bez niczyjej opieki. Najracjonalniej jest wtedy przysłać naprzód kogoś zaufanego, kto doprowadziłby dom do porządku, chociażby to miało się odbyć kosztem pewnej niewygody, lub skrępowania domowników, pozostających na lotnisku. W nagrodę zato zastaną dom świeży i czysty. Jeżeli takie rozwiązanie kwestji jest niemożliwe, to po przyjeździe gremjalnym należy się chwycić innego systemu. Przedewszystkiem otworzyć okna i przewietrzyć całe mieszkanie. Potem zamieść i okrzyć wszystko. A dopiero systematycznie i energicznie zabrać się do ogólnego porządku.

Jeżeli mieszkanie składa się z szeregu pokoi, najlepiej doprowadzić do gruntownego porządku jeden za drugim, zaczynając, oczywiście, od najbardziej potrzebnego. W ogólnym nieładzie jeden porządkowy, wła-

ściwie urządzony pokój, wyda się nam tembardziej miły. Jednakże powrót do domu, połączony odrazu z porządkami domowymi, należy uznać, jako istotną cenę. Poco spokój wypoczynkowy psuć sobie odrazu chaosem domowym i niewygoda?

Powrót do domu—to nie tylko doprowadzenie go do porządku i wejście w tryb zwykłych obowiązków domowych i zawodowych. Kojarzy się z nim dalsze życie domowników i samej pani domu. Szkoła (o ile są dzieci), zaopatrzenie domu na zimę, uważny, sezonowy przegląd garderoby i połączona z nim naprawa, przeróbki, pranie chemiczne i domowe, zakupy.

Dalszym etapem powrotu jest płacenie składek i rachunków za telefon, gaz i elektryczność, załatwienie zaległej korespondencji, porozumienie telefoniczne z rodziną i przyjaciółmi i konieczne wizyty. Wreszcie, „à tout seigneur tout honneur“, należy zakończyć uporządkowanie domu powrotem do normalnych warunków intelektualnych. Odnowienie prenumerat pism i czytelnik, przegląd katalogu nowości wydawniczych i książkowych i muzycznych (dla melomanek), rzut oka na repertuar teatralny i kinowy.

I na koniec, jeśli pani jest osobą towarzyską, uzupełni powrót „do miłej rzeczywistości“ przez zorganizowanie swego stałego dnia przyjęć, dobrej partii bridge'a lub dancingu (jeżeli pani tańczy).

M. Dobrowolska.

DIETA W CHOROBIE

II. DIETA PÓŁPŁYNNA

Dieta t. zw. półpłynna stosowana bywa b. często przez lekarzy w różnych chorobach żołądka i kiszek, w chorobach zakaźnych, gdy gorączka spada, lub też wogóle w wypadkach, gdy chory odzyskuje trochę apetytu. Daleko łatwiej jest zadowolić apetyt pokarmami o różnorodnej konsystencji, niż choćby najbardziej posilnymi i smaczными, ale tylko płynnymi. Dieta półpłynna polega na wprowadzaniu potraw bardzo łatwo strawnych, prostych, racjonalnie ugotowanych, estetycznie podanych. Dieta taka stanowi przejściowy krok pomiędzy dietą płynną, a zwykłą racjonalną dietą ozdrowieńców; zawiera więc wszystkie płynne potrawy, kleiki z rosółem lub mlekiem: grzanki, kaszki drobne na gęsto i na sypko; galarety z mięsa białego i ryb; mlecza różnorodne; suflety, budynie z kaszek, kremy, galaretki i musy owocowe; lody; śmietanka; masło; miód; warzywa i owoce jedynie w formie purée.

Z tych pokarmów układać można jadłospis zależnie od rodzaju choroby, zleceń lekarza i od gustu pacjenta. Dietę taką znacznie łatwiej ułożyć, niż dietę płynną, dbając o to, żeby zawierała stosunkowo dużo pokarmów skoncentrowanych.

Pierwszy przykład typowego menu w diecie półpłynnej:

Godz. 7 rano — 1 szklanka świeżo przegotowanego mleka.

Godz. 9.30 — pół szklanki soku z pomarańczy lub wody z cytryną i winem. 1 porcja gęsto ugotowanej kaszki drobnej (około szklanki), podanej ze świeżo przegotowanym mlekiem. 2 do 3 grzanki cienkich z masłem.

Godz. 12 — Talerz lub filiżanka rosółu z białkiem jajka (rozbijanego na talerzu, gdy się nalewa rosół). Grzanki z masłem.

Godz. 2.30 — Suflet z kury. Grzanka z masłem. Galaretka pomarańczowa.

Godz. 5 — Kakao. Grzanka.

Godz. 7.30. — Pół filiżanki rosółu. Omlet pulchny z 1 jajka. Pół filiżanki kawy ze śmietanką.

Godz. 10. — Talerz lub filiżanka kleiku. Grzanki.

Przepis. Suflet z kury na 4 porcje: 2 szklanki mleka, $\frac{1}{8}$ szklanki masła (2 łyżki stołowe płaskie), $\frac{1}{8}$ szklanki mąki (2 łyżki stołowe płaskie), trochę soli, pół szklanki czerstwej, ale miękkiej bułki, 2 szklanki posiekanego kurczęcia, 3 żółtka dobrze ubite, 1 łyżka stołowa usiekanej zielonej pietruszki, 3 białka, ubite na sztywno. Zrobić zwykłą zaprażkę białą z masła, mąki, mleka. Dodać podrobioną bułkę; zdjąć z ognia, włożyć mięso kurczęcia, żółtka, sól, pietruszkę, wymieszać z pianą, włożyć do wysmarowanej masłem formy i piec 30 do 35 minut w średnio gorącym piecu.

Drugi przykład typowego menu w diecie półpłynnej:

Wartość odżywcza: białka około 73 gm., tłuszczu 90 gm., węglowodanów 293 gm., kaloryj 2240.

Godz. 7 rano. — 1 szklanka mleka.

Godz. 9.30. — Soku z pomarańczy pół szklanki. Kaszki drobnej, ugotowanej na wodzie na gęsto, 1 szklanka. Śmietanki do kaszki ćwierć szklanki. Grzanki z 1 bułki. Masła pół łyżki płaskiej stołowej.

Godz. 12 w południe. — Barszcz czerwony na



Powrót do domu z długotrwałego wypoczynku.

kościach cielecych z sokiem z surowych buraków (1 szklanka). Grzanki z 1 bulki.

Godz. 2.30 popoł. — Omlet pulchny z 1 jajka. Przetarta marmelada z jabłek — pół szklanki.

Godz. 5 popoł. — Kakao z żółtkiem (1 szkl.).

Godz. 7.30. — Filiżanka buljonu. Budyń lub kremik z ryżu, czy z kaszki manny.

Godz. 10. — Kleik z kaszy jęczmiennej lub owsianej (1 szkl.). Grzanki.

III. DIETA LEKKA — DLA OZDROWIENCÓW.

Dieta ozdrowieńca zależy, naturalnie, od rodzaju choroby. Stopień i długość przebiegu choroby, odporność i siły pacjenta, oraz rodzaj diety, stosowanej podczas kulminacyjnych stadiów choroby — oto są czynniki, które należy brać w rachubę przy prowadzeniu diety w okresie rekonwalescencji. Żadnego schematu jadłospisu nie można dostosować do danego wypadku. Możemy jednak podać ogólną wskazówkę. Jeżeli mianowicie *przeród pokarmowy* chorego funkcjonuje normalnie, wtedy jest wiele szans szybkiego powrotu do zdrowia. Jeżeli była stosowana najpierw dieta płynna, potem półpłynna, należy wreszcie zbliżyć się do diety, przypominającej zwykłą, normalną dietę pacjenta, ale bez takich potraw, któreby obciążały system trawienny.

Następujące wytyczne należy uwzględnić przy układaniu jadłospisu dla ozdrowieńców:

1) Dieta musi być prosta. Tylko 3 do 4 rodzajów potraw na raz. Warzywa racjonalnie ugotowane, a więc drobno pokrajane i gotowane *jak najkrócej*; mięso, jaja — poniżej temperatury wrzenia, długo i na b. wolnym ogniu; kasze — jak najdłużej. 2) Posiłki powinny być podawane w określonych godzinach, ze skrupulatną punktualnością: pół godziny czekania może zniszczyć wszelki apetyt, a co za tem idzie, właściwe warunki dobrego trawienia i asymilacji. 3) Apetyt należy podniecać przez estetyczne podanie potraw, miłą atmosferę. Lepiej podawać ilości niewielkie, a potem dokładać: pobudza to apetyt, a jedzenie jest zawsze świeże i gorące. Bardzo pożądane są kwiaty na tacy lub przy nakryciu stołu!

Ogólny typ jadłospisu dla ozdrowieńców.

Śniadanie: Kawa ze śmietanką (dla dzieci i młodzieży zbożowa). Grzanki. Masło. Miód.

Godz. 10.30: Napój jajeczny, lub filiżanka rosółu z żółtkiem. Grzanki.

Obiad: Zupa z groszku zielonego, lub inna przecierana — ze śmietanką. Chleb czerstwy. Masło. Befsztyk z poledwicy skrobany (na surowo, z cebulą, solą i cytryną, lub wysmażony). Pieczone kartofle. Szpinak. Budyń z kaszki, kisiel lub galaretka.

Podwieczorek: Oranzada lub orszada. Krucho ciastko.

Kolacja: Galaretka z ryb lub ryba pieczona — z pomidorami. Ryż na sypko lub na słodko. Chleb. Masło. Herbata ze śmietanką.

Godz. 9.30: Gorące mleko przed pójściem spać.

Drugi typ diety dla ozdrowieńców.

Śniadanie: Kasza na mleku. Kawa (dla dzieci zbożowa) ze śmietanką lub mlekiem. Chleb pszenny razowy z pełnego przemiału (np. Grahama).

Godz. 10.30: Sok z pomarańczy lub orszada. Ciastko kruche lub biszkopt.

Obiad: Zupa jarzynowa lub owocowa. Cielecina lub kura w postaci pieczeni czy potrawki. Purée z kartofli. Marchewka. Suflet lub mus owocowy.

Godz. 3.30: Kakao. Herbatniki.

Kolacja: Omlet; mózdek zapiekany lub budyń z kaszy czy ryżu. Chleb czerstwy i grzanka. Masło. Miód.

Wieczorem: Mleko gorące przed pójściem spać.

W powyższych wypadkach diety płynnej, półpłynnej i lekkiej zachodzą jednak duże odchylenia, zależnie od wymagań lekarza; niemniej wszakże podane tu wiadomości mogą być pożyteczne, jako pomocnicze przy stosowaniu wskazówek lekarza.

Dieta przy drobnych niedomaganiach.

W wypadku drobnych niedomagań, przemęczenia, kataru, lekkiego przeziębienia — nie wzywamy lekarza, musimy jednak „być na diecie”. Kieruje tu nami instykt organizmu: odrzuca nas od ciężko strawnych pokarmów, mięs tłustych, potraw smażonych, zbyt skoncentrowanych, jak słodycze. Odczuwamy brak apetytu, gdyż przy lekkim nawet niedomaganiu następuje nerwowy skurcz jelit, żołądka; powstaje uczucie pełności w żołądku; soki trawienne przestają się wydzielać. Wówczas posiłek powinien być lekki. Przechodzi on łatwo do krwi i w ten sposób usuwa uczucie zmęczenia lub niedyspozycji. Pożywne zupy, w które obfituje kuchnia polska, są w tym wypadku wskazane, jak również ryż, wszelkie kasze, budynie z grzanek, chleb czerstwy, potrawy mleczne.

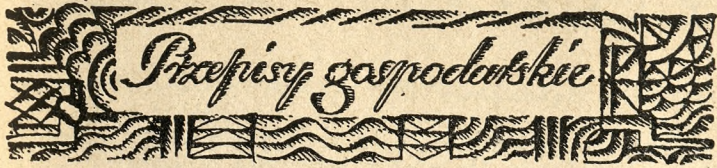
Zaziębieniu daleko łatwiej ulec, gdy się jest zmęczonym, jak również jest ono często w związku z obstrukcją. Dla uniknięcia tego należy naczczo pić gorącą wodę, zsiadłe mleko; codziennie na obiad jeść sałatki z jarzyn; buraczki, kapustę świeżą lub kwaszoną, marchew lub inne jarzyny z rosółu czy zupy; wreszcie owoce, a szczególnie jabłka, daktyle. Obstrukcja przyczynia się zawsze do uczucia zmęczenia, powoduje mniejszą odporność organizmu na wszelkie niedomagania fizyczne i nerwowo-psychiczne.

Dieta podczas takich przejściowych niedomagań powinna obfitować w gorące limonjady, lub oranzady, rosoly, kleiki z grzankami, jarzyny, kompoty i surowe owoce. Podczas przeziębienia nie należy przeciążać systemu trawiennego trudnostrawnymi pokarmami, aby zaś ułatwić mu powrót do stanu normalnego, należy dostarczać dużo witamin, soli mineralnych w postaci owoców, warzyw, kasz i chleba z pełnego przemiału. Stopniowo dodawać jaja, śmietanę, oliwę, jako przyprawy do jarzyn.

W Polsce rzadko się spotyka osoby starsze, pijące tran! Tran zawiera skoncentrowane witaminy t. zw. A i D., które wpływają na właściwą asymilację wapna i fosforu, oraz wzmagają naturalną odporność na choroby. Tran w zimie i wczesną wiosną czy późną jesienią zastępuje działanie słońca. Dorośli, skłonni do zaziębień, powinni pić tran w ilości od 2 do 6 łyżeczek (1—2 łyżek) dziennie. Najlepiej pić łyżeczką. Po każdej łyżeczce popijać wodą z sokiem z cytryny.

Leczenie drobnych, a częstych przeziębień spowodować może bronchit, katary chroniczne, zapalenie płuc, a nawet gruźlicę, która w Polsce bardzo się szerzy.

Marja Morzkomska.



LIN DUSZONY.

Kilowego lina, lub dwa mniejsze, oczyścić z drobnych łusek, nie żdzierając skórki, która jest najsmaczniejsza: pokrajać na dzwona, osolić (pozostawić w soli dobro godzinę). W płaskim rondlu rozpuścić sporą łyżkę masła (8 deka), wsypać dwie spore, drobno pokrajane, cebule (10 deka). Garść w drobne paski pokrajanych pieczarek (10 deka). Na to ułożyć kawałki lina, posypać zieloną pietruszczką i skórką, otartą z pół cytryny, zalać półtora szklanką białego wina (może być owocowe). Przykryć pokrywą, dusić wolno, aż ości od mięsa odstaną. Przełożyć na półmisek, do sosu dodać deserową łyżkę mąki, rozbitej w pół szklance wody, zagotować raz tylko. Żółtko rozbić z łyżką zimnej wody, rozmieszać z częścią sosu, dodać do reszty, uważając, aby się nie zwarzyło. Włożyć łyżeczkę od herbaty najlepszego śmietankowego masła, wymieszać i polać tem rybę, lub podać oddzielnie w sosjerce. Rybę obłożyć na półmisku kartofkami z wody, przysypanymi zieloną pietruszczką.

BUDYŃ Z BUŁKI Z RAKAMI.

Na cztery do pięciu osób wziąć 20 — 25 raków. Ugotować w osolonej wodzie z koperkiem, pietruszką, marchewką i cebulką. Raki oczyścić, szyjki i łapki przechować do dalszego użytku. Skorupki wszystkie utłuc, złożyć do rondelka z piętnastoma deka masła i smażyć wolno. Po paru minutach zacząć polewać smakiem, w którym się gotowały raki. Gdy całe czerwone masło na wierzch wypłynie, zebrać je starannie do filiżanki. Resztę płynu przecedzić przez gęste sitko, doskonale wyciskając masę ze skorupki. Płynem tym zalać trzydzieści deka tartej bułeczki (gdyby jeszcze nie dosyć napęczniała, dodać mleka). Na mierzecce utrzyć wnętrzości raków (po odrzuceniu kiszeczki i pęcherzyka z czarnym płynem), dodać trzy żółtka, garstkę drobno usiekanego koperku, rozpęczniałą bułeczkę, osolić do smaku, wymieszać doskonale, dodać rakowe szyjki i łapki, na koniec białko, ubite na bardzo sztywną pianę. Ułożyć masę do budyniowej formy, wysmarowanej masłem i wstawić w rondel z gotującą się wodą. Gotować godzinę i kwadrans, lub nawet nieco dłużej. Podając, wyrzucić na półmisek i polać rozgrzanym rakowym masłem. Można na półmisku obłożyć zielonym groszkiem. Chcąc podać tę potrawę ładnie, trzeba zarezerwować połowę największych skorupki rakowych, nadziać je częścią masy budyniowej (przed dodaniem szyjek rakowych), ugotować oddzielnie w osolonej wodzie i obłożyć niemi budyniu na półmisku. Kto chce mieć sos do tego budyniu, można, zamiast polewać go rakowym masłem, masło to zagotować raz ze szklanką kwaśnej śmietany i podać to w sosjerce (nie gotować długo gdyż cała śmietana zmieni się w masło).

KASZA PUCHOWA.

Pół kilo drobnej kaszki krakowskiej zatrzeć jednym bardzo dużym, lub dwoma mniejszymi jajami, wysuszyć w piecyku, czy na słońcu. Zagotować litr mleka z dobrą łyżką masła, wsypać kaszkę, wymieszać, zagotować raz, osolić do smaku, wstawić w przykrytym rondlu do pieca na dobrą godzinę. Przed samem podaniem przetrzeć przez rzadkie sito, lub przez specjalną maszynkę do przecierania kartofli, wprost na półmisek, postawiony w ciepłe, aby kasza nie ostygła. Podawać natychmiast z lekko zrumienionym masłem w sosjerce lub z dzbanuszkim zimnej śmietanki.

KONFITURY Z POMIDORÓW (na żądanie czytelniczki).

Dojrzałe, lecz zupełnie twarde pomidory pokrajać na plasterki i usunąć z nich ostrożnie wszystkie ziarenka. Ułożyć w salaterce, zalać zupełnie zimnym syropem, biorąc na kilo pomidorów kilo cukru i szklankę wody; syrop powinien być tak gęsty, aby, przy zdmuchnięciu z widelca, ciągnął się w nitkę. Nazajutrz syrop zlać, dodać doń ćwierć kilo cukru, zagotować znów i polać zimnym pomidory. Trzeciego dnia powtórzyć to samo, dodając ostatnie ćwierć kilo cukru. Czwartego dnia syrop jeszcze raz zagotować. Na bardzo gęsty włożyć pomidory i gotować bardzo wolno, często odstawiając miedniczkę, aby pomidory wypełniły się dobrze syropem, jednak się nie rozgotowały. Wsypać łyżeczkę od kawy kwasu dla zachowania żywego, ponosowego koloru. Gdy konfitura gotowa, dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Nie gotując więcej, odstawić i ostudzić. Nazajutrz składać do słoików i przechowywać, jak zwykle. Śliczne w kolorze konfitury nadają się szczególnie do ubierania ciast.

Pani Elżbieta.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Dla Ludwini. — Zasadniczo Vermouth podaje się bez niczego na jakieś 2 godziny przed jedzeniem. U nas przyjął się zwyczaj picia Vermouthu do przekąsek, albo popołudniu do biszkoptów.

Sery układa się na szklanych talerzach w całych kawałkach, obnosi się na tacach i daje do nich specjalne noże, zakończone zębami, które jednocześnie krają i umożliwiają wzięcie plasterka sera. Można też podawać sery w kawałkach pod kloszem, kładąc obok szeroki, ostry nóż do krajania.

K. Brześć. — Najwłaściwiej jest zapisać się do jednego z klubów sportowych, gdzie są odpowiednie boiska, korty tenisowe, pływalnie i t. p. Jest „Klub Wioślarek“ (plac Zamkowy 9), klub „Legja“ na Łazienkowskiej, klub „Polonja“, lub Akademicki Związek Sportowy. Zarządy chętnie udzielą szczegółowych informacji.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Szkoła, a wychowanie.

— Tak cię to w szkole wychowano? daje się często słyszeć pytanie z ust starszych, zwrócone do uczniaka, nieumiejącego się znaleźć i zachować odpowiednio.

I często strofujące to pytanie odnosi skutek: strofowany mityguje się, więcej uważa na siebie. Częściej jednak takie pytania wiele osób zadaje sobie w myśli, gdyż uczeń (często student) jest już w tym wieku, że tego rodzaju odezwanie się do niego jest niemożliwe.

Jeśli weźmiemy pod uwagę rzeczywiste warunki i stosunki szkolne, pytanie, to, tak często wymawiane, okazuje się nieelastyczne.

Dlaczego?

Dlatego, że szkoła uczy dziecko więcej lub mniej pożytecznych przedmiotów naukowych, o wychowanie zaś ucznia nie troszczy się prawie zupełnie. Jedyne prefekt z urzędu wychowuje dziecko moralnie, w duchu religji. Wychowania świeckiego, ogłady towarzyskiej w szkole się nie daje. Dzieci rodziców, zajmujących wyższe stanowiska społeczno-towarzystkie, wychowywane są w domu. Sieroty lub dzieci rodziców, stojących na niższym szczeblu towarzyskim, wychowują się same. Od stopnia ich zainteresowania się, zdolności obserwacji i charakteru zależy zdobycie ogłady towarzyskiej. Dzieciak żywy, bystry, dbający o swój wygląd, zauważy więcej cennych dla siebie szczegółów u szczęśliwszych pod tym względem rówieśników; uczeń powolny, bojący się drwin, mniej baczną na przymioty natury zewnętrznej, niedbały, poloru nigdy nie nabędzie.

Ogólny brak tego społeczno-towarzystkiego, życiowego wreszcie, wychowania wśród najmłodszego pokolenia daje się powszechnie zauważyć.

Wychowanie towarzyskie od najdawniejszych już czasów było przedmiotem troski pedagogów, a każdy zwracał uwagę na sposób bycia młodzieńca czy panny.

Jak kiedyś, tak i dziś społeczeństwo uważa na wyrobienie towarzyskie dziewczęcia i chłopca; władze pedagogiczne jednak nie zajmują w tej sprawie żadnego stanowiska, a swoją obojętnością zdają się traktować sprawę raczej negatywnie. Skutki tego są wprost fatalne! Oto maturzysta nie umie dziś samodzielnie zredagować podania o przyjęcie go na uniwersytet; często chłopak, kończący gimnazjum, nosi brudny kołnierzyk na jeszcze brudniejszej szyi, a buty czyści tylko w wypadkach wyjątkowych! Nieraz widzi się studenta lub ucznia, paradującego w poplamionem i podartem palcie. A iluż to uczniów (nawet w towarzystwie pensjonarek) włóczy się po nocach po dancjach, kabaretach; nie brak ich też zwłaszcza w kinach i w teatrach na niedozwolonych, a raczej nieodpowiednich sztukach.

Brak wychowania u ucznia niższej klasy, przypisuje się często łobuzerskiemu usposobieniu dziecka, dlatego też nie razi on tak w jego zachowaniu, jednak u młodzieży, studjującej na wyższych uczelniach, daje się bardzo wyraźnie i nieprzyjemnie zauważyć.

Młody akademik (czy akademiczka), znalazłszy się w sferze starszych inteligentnych, a nieznanym ludzi, często nie potrafi wybrnąć na stały grunt rów-

nowagi towarzyskiej. I tu dzieją się sceny nieprzyjemne zarówno dla niego, jak i dla otoczenia.

A więc student prawa, ekonomji, chemji czy filozofji nie wie, gdzie trzymać ręce, kiedy wstać, kiedy siedzieć, jak się do kogo zwracać, jak obchodzić się z nożem i widelcem i t. d. i t. d.

Znałem studenta uniwersytetu, który ucierał nos palcami, a dopiero potem, z elegancją „wiejskiego kawalera“, osuszał palce chustką!

Wyobraźmy sobie teraz tego studenta na jakimś oficjalnym bankiecie, na zebraniu, w teatrze, czy na koncercie. Wyobraźmy go sobie, jako człowieka na stanowisku prezesa, lub dyrektora jakiegokolwiek poważnej instytucji.

To są skutki braku wychowania ucznia w szkole. Wielkim jest błędem, że szkoła stale uważa swego wychowanka za dziecko. Niema prawie różnicy w traktowaniu pierwszo a szósto klasisty. Nawet w ósmej klasie uczeń uważany jest za smarkacza, którym przestaje być wobec swych wychowawców oficjalnie i faktycznie dopiero w momencie otrzymywania świadectwa dojrzałości (dosłownie!). Na podstawie tego papieru, przechodzi uczeń bezpośrednio z atmosfery dziecinnego pokoju do towarzystwa ludzi poważnych i starszych. Okresu przejściowego, w którym otrzymałby on zasady wychowania i dobrego tonu, niema tu wcale.

Jeśli dawna szkoła uważała za swój obowiązek wychowywanie ucznia, tem więcej szkoła dzisiejsza dać mu to wychowanie powinna.

Oświata rozwija się wspaniale. Wzrasta ilość szkół, wzrasta proporcjonalnie, a nawet proporcję tę przewyższa liczba uczącej się młodzieży. O ile dawniej mało było tych, którzy odpowiednich walorów wychowawczych nie otrzymali z domu, których jedynym wychowawcą była szkoła, o tyle dziś liczba młodzieży z brakiem ogłady towarzysko-życiowej wzrosła i wzrasta niepomiernie. Tak wieś, jak i miasto zasilają szkoły materiałem surowym pod tym względem. Nieociosany ten materiał przechodzi przez wszystkie stadia szkoły; chłopiec, czy dziewczyna zdobywa wiedzę, a przytem wiele zalet i wad w wychowaniu, których nawet rozróżnić nie jest w stanie. I ten sam surowy materiał opuszcza szkołę bez zewnętrznego społeczno-życiowego poluru, bez znajomości świata i form, w nim obowiązujących.

Wyższa uczelnia, zajęta wyłącznie szerzeniem wiedzy specjalnej, nie może już zwracać uwagi na wychowanie. Tak więc dziecko, przeszedłszy szkołę, stawszy się mężczyzną, czy kobietą, kończy swe wykształcenie z brakiem znajomości form towarzysko-społecznych, które z trudnością przychodzi później zdobywać. Zaznają wielu smutnych doświadczeń, nieraz gorzką pigułkę połknąć im przyjdzie, nim zdołają osiągnąć poziom, wymagany na danym szczeblu życia społecznego.

Obowiązkiem szkoły średniej jest przygotować ucznia do życia, a nawet w życie go wprowadzić. Należy dać mu podstawy wychowania społecznego, towarzyskiego i obywatelskiego w najszerszym zakresie.

W ten sposób stworzy się typ ucznia roztropnego, umiejącego swobodnie się znaleźć w każdym towa-

rzystwie i poradzić sobie w każdej sytuacji; będzie on też zawsze mile widzianym gościem.

Wychowanie ucznia jest równorzędne z koniecznością udzielania mu w szkole określonego zasobu wiedzy teoretycznej.
St. M. Raczkowski.

Wycieczka do Łowicza Kół Gospodyń z Kłomnic i Gidel.

O godz. 6-ej rano, po wspólnej modlitwie w klasztorze OO. Dominikanów w Gidlach, wyjechałyśmy autobusem w stronę Łowicza.

Czas miło i szybko mijał na pogawędce i pieśniach religijnych. A później, gosposie, wpadłszy w dobry humor, wyśpiewywały wesołe piosenki, a nawet nie brakło i starościan z weselnymi przyspiewkami.

O godz. 11 zatrzymałyśmy się w Łodzi, gdzie obejrzałyśmy katedrę, złożyłyśmy kwiaty na grobie Nieznanego Żołnierza i zwiedziłyśmy miejskie plantacje roślin kwiatowych, a także znakomicie postawioną szkołę państwową przemysłu włókienniczego. Wyruszamy w dalszą drogę, mijając Zgierz, pełen kominów, Łągniwniki, klasztor z cudownym obrazem św. Antoniego, Stryków, miejscowość bardzo starą, nad rzeką Moszczenicą. Już w tych stronach, przez okienka autobusu, migają barwne zapaski i wełniaki łowickie.

Jeszcze kilka wiossek, osad, małych miasteczek i wjeżdżamy do Łowicza.

Tutaj zajęła się naszą wycieczką Szanowna Pani Aniela Chmielińska, oddana sprawom narодно-społecznym. To też składamy „Bóg zapłać“ za życzliwe i serdeczne przyjęcie. Pod łaskawym przewodnictwem p. Chmielińskiej zwiedziłyśmy szkołę gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt w Zdunach i szkołę rolniczą dla chłopców na Blichu. Tu i tam oprowadzono nas po wspaniałych budynkach szkolnych i mieszkaniowych, po wzorowo urządzonych gospodarstwach.

Nazajutrz zwiedziłyśmy muzeum, poczem, po wspólnym obiedzie i fotografii, wyruszyłyśmy w powrotną drogę, zadowolone z tak miłej i pożytecznej wycieczki.
Marja z nad Warty



Na wycieczce

Kobieta w ducie małżeńskim (odpowiedź panu A. J. K.)

Duet małżeński porównał Sz. Pan do szyku bojowego. Słusznie. Rodzina, to mała komórka społeczna, która, chcąc egzystować samodzielnie, a z korzyścią dla całości, prowadzi bój z tem, co ją otacza i co

jej grozi. Ale nam wyznacza Pan rolę taborów. Przeciw takiemu stanowisku protestujemy obecnie, pociachu w domu, głośniejsz w prasie.

Czy chodzi nam o nasze dobro, o dobro naszej płci? Dla kobiety najbliższym jest często właśnie mężczyzna: mąż, synowie. Jeżeli nie chcemy pozostać nadal w taborach, to nie dla własnego dobra, a dla dobra tych, których kochamy, dla siebie również.

Pozostając przy „wojennych“ porównaniach, zgodzić się musi Sz. Pan ze mną, że technika wojenna ulega wielkim ewolucjom, w związku zaś z niemi zmieniają się środki obronne, zmieniać się musi i postawa psychiczna walczących. Obecnie kijami biją się tylko na podwórkach, a światu grozi wojna chemiczna, gdzie bohaterstwo, odwaga i inne cnoty „męskie“ mogą być przydatniejsze, ale nie będą niezbędne. Rozum, wiedza, znajomość środków bojowych stanowią warunki, bez których zwycięstwa nie będzie. Rola taborów? Cóż mówić o taborach, kiedy cała ludność cywilna musi się stać, w razie wojny, jedną linią bojową, kiedy bez udziału kobiety, klęska nastąpi nieuchronnie?

Tak w wojnie, jak w życiu my taborami być nie możemy. Choćbyśmy chciały. Niech Sz. Pan pomyśli o tem, że ci wymienieni w Jego artykule rolnicy, kupcy, urzędnicy i t. d. to są mężowie, którzy często nie są w stanie zapewnić bytu rodzinie. Czasem i nie chcą; pieniądze są im potrzebne na różne, zależne od aspiracji duchowych rozrywki. A iluż z nich zostawia żonę na bruku, żeniąc się z inną? Daleka jestem od „robienia ofiary“, na kobietę patrzę tak krytycznie, jak tylko kobieta może, zdając sobie sprawę z tego, ile winy ponosi w tym wypadku sama kobieta, ale rezultaty tych win naszych i Waszych są zbyt niebezpieczne, by kobiety gwałtem ciągnąć do... taborów.

Czy my na tem dobrze wyjdziemy? To inna rzecz. Stanęłyśmy w pierwszej linii bojowej. Atakujemy świat. Pociski często, gęsto chybają... Wasze też chybają, ale na celności naszych strzałów skupia się cała uwaga. Do Waszych pudeł i do Waszych zwycięstw świat się przyzwyczaił.

Szczęścia... nie widzę, byśmy tu znajdowały, i byśmy go tu szukały. To jest nasz bezwzględny mus. Szczęście leży gdzieś indziej. A że któraś z nas buntuje się wobec przyszywania guzików, czy cerowania, to, proszę Pana... niech to Pana nie dziwi: to nie jest rzecz przyjemna, szczególnie, gdy się do niej zabiera po całym dniu pracy, gdy wszyscy już smacznie chrapią.

Ponieważ z powodów różnych tam spraw natury ekonomicznej i etycznej mąż nie jest obecnie żadną gwarancją bytu, więc nie można nam narzucać roli „eksploatorki zdobyczy męża“, jak to miało miejsce od najdawniejszych czasów do wczoraj. Przyszedł czas, że musimy same zdobywać. Nie laury, o nie!

Dużo w nas jeszcze zwątpienia, niewiary, ale bo i dużo trudności. Jeszcze nie znalazłyśmy swej drogi. Przedewszystkiem, gdy chodzi o drogi zdobywania chleba. Nie liczymy się w wyborze zawodu z naszymi możliwościami natury psychicznej i fizjologicznej, nie liczymy się z naszą linią życia. To się wygładzi, to wygładzi życie.

Ja sama jestem nieprzyjaciółką pracy „zawodowej“ kobiet w tej formie, jak to ma miejsce dzisiaj. Ten „zawód“, to biuro lub fabryka. Kobieta większość dnia zostaje za domem, co jest krzywdą rodziny, przedewszystkiem zaś dzieci. Jest okres (plus-minus 10-cio letni), gdy kobieta dzieci rodzi, karmi i uczy podstaw życia, który to okres wymaga jej obecności w domu. To nie znaczy, że nie ma „zarabiać“, że nie wolno jej walczyć o chleb. Jest to kwestja wyboru i przygotowania zawodowego...

Dużo zrobiłyśmy dla wyrównania świeżo po-

wstałych nierówności. „Plew i szkodników“ jeszcze dużo, ale selekcja postępuje; przyszłe pokolenia będą już miały dróżki wymiecione.

„Szczęście kobiety, jej obowiązek, cnota i dostojność, to miłość i macierzyństwo“. Owszem. Ale my, jak i wy, nietylko szczęścia chcemy, nietylko dla szczęścia żyjemy. Bo nawet i nie możemy. Nie pozwala nam na to duch czasu i wymogi epoki. I ten ogólny szal krwawej walki o byt. Niejednokrotnie właśnie przez miłość i właśnie przez macierzyństwo.

Panu chodzi o równomierny rozkład sił, aby był ład. Mnie chodzi o to samo. Ale z warunkiem, by rozkład był taki, żeby, gdy zajdzie potrzeba, tabory bez uszczerbku dla całości, każdej chwili, mogły utworzyć linię bojową, czyli... muszą być linią bojową przynajmniej potencjonalnie. *Częstochowianka*

Głos matki w sprawie art. 141—142.

Sprawa art. 141—142 zdaje się być niewyczerpana i budzi coraz żywsze zainteresowanie, nietylko u kobiet, ale i u mężczyzn. W każdym numerze znajdzie się w tej sprawie kilka choćby słów. Niektóre uwagi są trafne i prawdziwe; inne znów może przesadne, porywają więcej samą autorkę, niż czytelniczki. Zastrzegam się, że nie uogólniam tego powiedzenia.

Nie można, naturalnie, dążyć do reguły niszczenia poczynającego się życia, wiemy o tem dobrze; ale i nie można z całą bezwzględną przesadą przeciwstawiać się konieczności życiowej. Spędzanie płodu nie należy do przyjemności i jest b. niebezpieczne. Niejedna kobieta walczy ze śmiercią, więc skoro waży się na to, muszą być ku temu bardzo ważne przyczyny.

Panie, nieubłagane przeciwniczki, są to pewno najczęściej osoby starsze, lub niezależne finansowo; wierzę, iż dla nich byłoby ciężkim grzechem, usuwanie potomstwa. Ale dla tych, które walczą z biedą, którym i na chleb powszedni nie starczy, myśl o usunięciu nowej nędzy nie jest czemś zdrożnem; przeciwnie: jest to, w mem pojęciu, lepsze, niż skazywanie na niedolę istotki, która nieraz, siłą konieczności, przysła całkiem niepożądana.

Piszę to pod kątem mego widzenia, oczywiście. Mam dwóch chłopczków; cóż się okazuje: obaj rachityczni, krzywi im się kręgosłup, grożą im garby. Leczyć! woła lekarz, ale za co? Boć pomoc lekarska na papierze, a ten najcierpliwszy; więc jak ma poradzić na to niezamożny urzędnik? Dzieci ratować trzeba: zaciąga się pożyczki, zaliczki etc.; wysła się do zakładu klimatycznego. Kuracja tam, leczenie u ortopedysty, koszty olbrzymie; a przez ten czas w domu wegetacja. Co byłoby, gdyby tak nowy potomek? a „grzech“ go usunąć w zaraniu; więc co? nowy kandydat na leczenie i nowe długi, bez pewności pokrycia?

Pytam więc tych Pań, które wołają „nie zabijaj!“, co zrobiłyby na mojem miejscu? Otrzymałabym odpowiedź: „trzeba uważać“. Tak, owszem, ale bywają wypadki pomimo uwagi! Czyż zbrodnią byłoby, gdybym usunęła w początkach? chyba nie. Dość męki i rozpacz, dość niespanych nocy w trosce o zdobycie funduszu na leczenie. To nie sztuka dać życie: trzeba dzieciom stworzyć warunki odpowiednie, nie mieć na sumieniu gorszej zbrodni, bo skazywać na niedolę jest gorszą krzywdą i zbrodnią, niż usuwać płód, jeszcze nie żyjący.

Może mógłby mi kto w odpowiedzi rzucić zdanie: „nie należało wychodzić zamaż“. Czyż młoda

panienka wie, jakie będzie jej potomstwo i warunki życiowe? Lekarz stwierdzi, że wszystko w porządku, a potem okazuje się, że się omylił, że dziedzictwo wybija piętno na małym ukochaniu kobiety, której to małeństwo jest światem całym. Tęsknota do macierzyństwa tkwi silnie w każdej kobiecie (nie każda jawnie przyznaje się do tego). Przyznam się, że widok małeństwa budzi we mnie żal, że to nie moje, że nieby mnie nie wstrzymało przed macierzyństwem, gdybym miała dobre warunki bytu i pewność, że moja dziedziczność nie wisi nademną, jak miecz Damoklesa. Muszę, mimo tęsknoty, powiedzieć sobie: „nie wolno“.

Ten smutny nakaz skłania zapewne wiele kobiet do pozbycia się płodu, bo, niestety, nie zależy tylko w małżeństwie tylko od siebie, ale od wymagań i kaprysów mężowskich.

Nie można potępiać nikogo za to, nie znając pobudek, któremi kierowała się dana jednostka. Czyż serce matki głuche jest na płacz jej dziecka, które, będąc chore, prosi o owoce, ale, że są drogie, nie otrzymuje ich, bo matka wydała pieniądze na gorzkie lekarstwo, którem ratuje swój skarb.

Nie! nie należy w tym wypadku wypowiadać się ostro o takich naprawdę nieszczęśliwych kobietach; należy tylko współczuć z niemi. Potępiam jedynie te lekkomyślne, które dla figury, swobody i t. d. uchylają się od macierzyństwa, lecz z drugiej strony może i lepiej robią, że nie dają życia dziecku, którego potem wychować nie umieją, nie mając dlań czasu.

Popieram zdania Szanownych Pań, że w tym wypadku powinna decydować kobieta, a paragrafy, których niektóre Czytelniczki bronią, powinny zniknąć, lub zmienić się o tyle, by nie popychały kobiety naprawdę do zbrodni nad sobą, lub do dzieciobójstwa.

Na zakończenie dodaję, że nie chciałabym nikogo tem odezwaniem zadraskać; słowa moje są jakby z pod serca wyjęte i niejako krwią pisane, bo przeszłam cały tragizm tego i patrzę na moje biedne dzieci.

Stała Czytelniczka z Wielkopolski

Jesteśmy u siebie.

Staraniem Rodziny Policyjnej otwarta została letnia kawiarnia „Rodziny“ w Nowogrodku. Miły lokal, skromnie ale starannie urządzone, daje możność członkom spędzenia kilku chwil wypoczynku i rozrywki w swojej kawiarni.

K. J. — Nowogrodek



Rodzina Policyjna w swojej kawiarni.